

POLSKA WALCZĄCA

ŻOŁNIERZ POLSKI NA OBCYZYŃNIE

FIGHTING POLAND — WEEKLY FOR THE POLISH FORCES — PRICE TWOPENCE

Wychodzi co tydzień

Dnia 10-go lutego 1945r.

Rok VII. Nr. 6

ZACHODNIE ZIEMIE POLSKI

NIEMCY JAKO GOŚCIE W ZŁOTEJ KAPLICY W POZNANIU

Kilka zaledwie lat przed obecną wojną przyjechała na parę dni do Polski wycieczka dziennikarzy niemieckich; chcieli pokazać Niemcom nasz dorobek państwowy; chcieli nauczyć szacunku dla naszej pracy i umiejętności. Przywieziono ich także do Poznania. Zanim obejrzeliby wielki teren Targów Międzynarodowych, nową, jak z igły zdjętą elektrownię, nową spalarnię śmieci i nowe dzielnice mieszkaniowe, zaprowadzono ich do katedry na Ostrowiu Tumskim. Świątynia była pusta, kroki niezwykłych gości roznosiły się nieprzyjemnym echem po wszystkich kątach, jakby z protestem przeciw wypuszczeniu do katedry — ludzi niepowołanych. Echa zagłuszyły organy, grające „Bogu Rodzicę...” i — z kolei — kilka psalmów Gmółki i innych utworów polskiej muzyki kościelnej sprzed kilku stuleci.

Goście niemieccy weszli do Złotej Kaplicy i stanęli przed grobem dwu królów polskich — Mieszka I i Bolesława Chrobrego. Przewodnik zaczął tłumaczyć historię tych pierwszych władców niepodległej Polski. Jeden z dziennikarzy niemieckich przerwał brutalnie:

— Ach, to przecież nie są fakty historyczne. To taka sama bajka, jak niemiecka *Nibelungenlied*.

— Pieśń Nibelungów — odpowiedział przewodnik — jest legendą z XII-go wieku. Historia powstania Polski w końcu X-go wieku i pierwszych królów polscy to rzeczywistość.

Na tym zakończyła się ta wizyta niemiecka w poznańskim Tumie. Prezydent miasta Poznania Cyryl Ratajski, któremu parę godzin później zajęcie w Złotej Kaplicy opowiadano, burknął:

— A było nie rzucić pereł przed nieprze!

NIEMCY W ROLI „ZDOBYCZÓW” I TEPICIELI POLSKOŚCI

Z drugą wizytą przybyli Niemcy do Poznania i Zachodnich Ziem Rzeczypospolitej we wrześniu 1939 r. Przybyli już nie jako goście, lecz jako zdobywcę. Nic więc nie hamowało ich rzeczywistego nastawienia wobec Polski i Polaków. Postanowili zatrzeć każdy ślad polskiej historii na tych terenach, postanowili zniszczyć uczucie narodowej niezależności w ludności te obszary zamieszkującej, postanowili Polaków sprowadzić do roli niewolników bez praw i bez przyszłości. 6 października 1939 roku Artur Greiser, *Gauleiter* tak zwanego *Wartheland*, obejmującego województwo poznańskie i część województwa łódzkiego ogłaszał:

„Za dziesięć lat nie będzie tu ani kawałka ziemi, który nie byłby niemiecki; każde domostwo będzie należało do niemieckiego kolonisty”.

Dnia 7 listopada 1939 roku Albert Forster, *Gauleiter* tak zwanego okręgu *Danzig-Westpreussen*, obejmującego województwo pomorskie, miasto Gdańsk i nadwiślańska część przedwojennych Prus Wschodnich oświadczył:

„Zostałem ustanowiony przez Führera jako jego zaufany pełnomocnik dla tego terytorium. Jest moim obowiązkiem i zadaniem zapewnić końcowy triumf sprawy niemieckiej na tej ziemi”.

Prasa niemiecka na Śląsku zapowiadała, że *Gau Oberschlesien*, w który włączono województwo śląskie, okręg sosnowiecki i za-

chodnie polacie województwa krakowskiego:

„... stanie się szybko i skutecznie ziemią tak samo czysto niemiecką, jak każda inna prowincja Niemiec”.

Na terenach tych wprowadzono niemieckie ustawodawstwo i niemiecką administrację. Włączono je, wbrew zasadom prawa międzynarodowego, w granice *Gross-Deutschland*. Polakom odebrano wszelką ochronę prawną, podporządkowując ich samowoli S.S., Gestapo, i trybunałom sądowym, urzędującym na podstawie specjalnego dekretu dla Polaków, Żydów i Cyganów. Z całego europejskiego wschodu statkami, kolejami, wózkami i pieszo ściągnięto talatę mniejszości niemieckiej Estonii, Łotwy, Litwy, Rumunii, Bułgarii, Jugosławii i Rosji, aby osiedlić na miejsce setkami tysięcy wywożonych Polaków. Przybywszy ze wschodu nawet prasa emigracji niemieckiej w Ameryce i Anglii nazwała: „niekulturalnymi i zawzawionymi”. O praktykach stosowanych wobec Polaków pisała 21 kwietnia 1941 r. emigracyjna *Die Zeitung*, ukazująca się w Londynie:

„Żaden z pokonanych krajów nie doświadczył takich świadomych i systematycznych tortur jak Polska. Polacy są Żydami wśród pokonanych narodów. Brutalność uderza w żyjących; z zimną krwią i wrafinowaniem obmyślane zarządzenia godzą w przyszłe pokolenie Polaków, które nigdy nie ujrzą światła dziennego... Nie ma słów dość silnych, aby wyrazić oburzenie i wstyd na to poniżenie — nie tyle Polaków, ile dobrego imienia narodu niemieckiego”.

„POLACY SĄ TWARDZI, JAK STARA SKÓRA!”

Coraz więcej wśród nas, tu na na emigracji, Polaków, którzy wyszli z tego piekła, którzy go doznali, którzy mogą nam wiele o nim opowiedzieć. Dziś z Zachodnich Ziem Rzeczypospolitej wojska niemieckie są w generalnym, wielkim odwrocie. Poznański Greiser, pomorski Forster, śląski Bracht, pełnomocnicy Hitlera od poniewierania Polakami, spakowali manatki. Zapewne dopiero teraz zdają sobie oni sprawę, że misja, której się

podjęli, była niemożliwa do spełnienia, że zadanie, którego chcieli dokonać, przeszło siły nawet hitlerowskiej bezwzględności. Mają zapewne to samo uczucie, które miał Bismarck, gdy jego antypolska akcja zawodziła, które miał kanclerz Wilhelma II Bülow, gdy rozkładał bezradnie ręce nad żywotnością Polaków, które miał prezes Pruskiej Komisji Kolonizacyjnej Gense, gdy pouczał młodego urzędnika:

— Panie! Nie bądź pan śmieszny. Z Polakami nie dasz sobie rady. Oni są twardzi jak stara skóra!

Nie należy bowiem zapominać, że wojskowe złamanie Niemiec na wschodzie stało się możliwe nie tylko dzięki strategii i sile Rosji Sowieckiej, ale — bodaj przede wszystkim — dzięki temu, że w żadnym momencie obecnej wojny żaden z Polaków nie poddał się najeźdźcy. Naród polski przez cały okres okupacji targał kajdanami, przy których pomocy Niemcy chcieli z niego zrobić bezwolne narzędzie dalszego *Drang nach Osten*. Z najeźdźcą szamotało się nieubłagane także społeczeństwo Zachodniej Polski, najdotkliwiej i najbardziej boleśnie uciskane. Zgodnie zresztą ze swoją tradycją.

WIELKOPOLSKA — KOLEBKĄ POLSKI

W Wielkopolsce powstało państwo polskie. Dynastia pierwszych polskich królów — Piastów wyszła znad Gopla. Na wyspie Jeziora Lednickiego pod Gnieznem stał gród, w którego kaplicy chrzczonego Bolesława Chrobrego. Do grodów w Gnieźnie i Poznaniu zdążyli z zachodu posłowie innych państw, aby układać się z Polską. Tu, w dorzeczu Warty w X-tym wieku, więc w okresie, gdy zaczynała się historia Niemiec, rozwinęły się ośrodki, promieniujące kulturą zachodnio-europejską. Żeby przypomnieć słowa wybitnego polskiego historyka Kazimierza Tymienieckiego:

„Pierwotną nazwą „Wielkopolski” była „Polska”. Nazwa ta oznaczała długo jeszcze zarówno dzielnicę nad Wartą, jak i całe państwo. Dopiero w XIII-tym wieku zaczęto dla tej

dzielnicy używać wyróżniającej nazwy Maior Polonia, czyli Stara Polska, albo Wielkopolska, ale obok tego utrzymała się jeszcze i w wieku następnym dawna nazwa dzielnicowa Polski”.

Z Wielkopolski szedł św. Wojciech nawracać Pomorze. Tenże sam św. Wojciech, do którego grobu w Gnieźnie cesarz niemiecki Otto jako gość Bolesława Chrobrego, zdążył pieszo i boso. Śląsk długie wieki należał administracyjnie do arcybiskupstwa gnieźnieńsko-poznańskiego. Znad Warty i Gopla rozrastała się Polska jako żywy organizm ku Wiśle, Odrze i Bałtykowi.

DAWNY I TRWAŁY OŚRODEK KULTURY

Ziemie Zachodnie Rzeczypospolitej, a szczególnie Wielkopolska, mają nie tylko wybitne miejsce w historii politycznej naszego narodu. Były ośrodkiem kultury polskiej. Z Poznania długo promieniowała — żeby przypomnieć znowu tylko kilka oderwanych faktów — założona w 1520 roku wyższa uczelnia Akademii Lubrańskiego. Na początku XVI-go wieku na Zachodzie Polski zabłysnął talent wielkiego poety Klemensa Janickiego, obdarzonego potem w czasie swych wędrówek po Europie wieńcem poetyckim przez cesarza niemieckiego Karola V. Klemens Janicki, europejska sława, był synem chłopca spod Żnina. Jak sam o sobie pisał:

... Za żnińskim bagnem jest wieś przejeżdżna, Co się Janusza imieniem zowie; Tamtędy niegdyś polscy królowie Jeździli w pruską ziemię od Gniezna, I tam mój ojciec, mieszkawiec wioski, Orał pocziwie grunt pradziadowski.

W wieku XVIII-ym z Wielkopolski wyszedł wielki reformator Staszic /urodzony w Pile, którą Niemcy przechrzcili na Schneidemühl/, a obok niego bohater Warszawy — szewc Kiliński. Wiek XIX-y wydał na Zachodzie Polski między wielu wybitnymi Polakami wielkiego społecznika dr. Marcinkowskiego, wybitnego myśliciela Karola Libelta, wielkiego poetę Jana Kasprówicza, który młodość swą, spędzoną nad Gopiem utwa-

lił w wierszu:

*Pamiętam te piaski nad wodą,
Gromniczne pamiętam dziewanny
I poszept tych fal nieustanny,
Co swoją, pozabawioną słów pieśnią
wiewiły*

Moją duszę młodą.

Poznań w pierwszej połowie XIX-ego wieku przejął po Warszawie charakter duchowej stolicy Polski. Na przełomie XIX-ego i XX-ego wieku Zachodnie Ziemie Rzeczypospolitej stają się głównym ośrodkiem gospodarczego rozwoju narodu polskiego. O polski zmysł organizowania spółdzielczości, tworzenia narodowego przemysłu, rozwijania handlu i rzemiosła rozbiły się wszystkie ówczesne niemieckie próby — zrobienia z Polaków potulnych poddanych Prus.

W OKRESIE NIEPODLEGŁOŚCI

Po 1918 roku Zachodnie Ziemie Polski starały się utrzymać swą przodującą rolę w życiu gospodarczym całego kraju. Polacy bez wstrząsów i bez szczególnego trudu dali sobie wtedy radę ze wszystkimi trudnymi zagadnieniami gospodarczymi, które powstały z chwilą odłączenia ich zachodnich terytoriów od organizmu gospodarczego — Rzeszy Niemieckiej. Osiągnięcia polskiej organizacji stały się szczególnie widoczne na Śląsku i na Wybrzeżu, w Gdyni. W ostatnich latach przed wojną z Zachodnich Ziem Rzeczypospolitej szedł w dużej mierze element ludzki, organizujący nowy, wielki Okręg Przemysłowy w widłach rzek San — Wisła.

Nie zaniedbywano przy tym nowych inwestycji na samym zachodzie. 80% dokonanych niemieckich na Zachodnich Ziemach Polski w tej wojnie to dokończenie rzeczy zaczętych przez Polskę przed 1939 rokiem lub wprowadzenie w życie polskich planów. Trzeba się było serdecznie śmiać, czytając często w tej wojnie przechwałki niemieckie, na przykład — o rozwinięciu w Wielkopolsce w powiecie wolsztynskim i w kilku innych powiatach — chałupniczego przemysłu tkackiego. Niemcy przedstawili to jako własne plany. Były to jednak stare plany polskie. Szerok wielkich inwestycji w Poznaniu /port na Warcie, hale targowe, pływalia/ pan Greiser wychwalał jako swoje własne pomysły. Były to tymczasem projekty, uchwalone na parę lat przed wojną przez polską radę miejską Poznania. Przykładów można by przytaczać więcej, bo tak samo było na Pomorzu i na Śląsku.

* * *

Nie piszemy tu historii tych Ziem. W chwili jednak gdy przez zachód Polski przewala się raz jeszcze huragan wojny, trzeba silnie podkreślić ich wielkie dla Polski znaczenie. Powiedział kiedyś Roman Dmowski, że „głupia Polska bez Poznania”. Głupia bez Torunia i bez Katowic. Nie byłoby Polski, gdyby od Jeziora Żarnowieckiego i od piasków Bałtyku aż po czerń kopalń Śląska i zieleni wzgórz beskidzkich nie ostała się polskość, ta polskość, dla której ziemię tę są rzeczywistą Macierzą.

Tu powstała Polska! Ufamy i wierzymy, że się w oparciu o te ziemię znowu rozbuduje, po ogromnym zniszczeniu obecnej wojny. Polacy z Zachodnich Ziem mają obowiązkiem pamiętać o znaczeniu Opatrzności powołała — z wielkiej tradycji.

NOCNA MODLITWA

Dusze, jeśliście żywe,
Zbuntujcie się,
Sera, jeśli bijecie,
Zlitujcie się,
Ludzie, którzyście ludźmi,
Stańcie w okopach
Ziemskich i świętych —

Rozpaczcie obłąkana,
Nie zabijaj nas,
Siło opoki wiecznej,
Nie omijaj nas,
Wiaro, łasko uczynna,
Daj nam wytrwanie,
Broń nieugiętych.

Krzyż z Boga odarte,
Dźwignijcie nas,
Prawdy kłamstwem pobite,
Pomścicie nas,
Ognie na górze Synaj,
Z pod waszych znaków
Miecz nasz, obrońca —

Matki, któreście kiedyś
Rodziły nas,
Ziemie, któreście kiedyś
Karmiły nas,
Niebo nad Wisłą, daj nam
Sprawie jedynej
Służyć do końca.

Na żołnierzy za kraj nasz
Bijących się,
Na żołnierzy w podziemiach
Kryjących się,
Na wszystkich wiernych Polsce
W walce i śmierci
A bez pomocy —

Słowem Bożym i ludzkim
Zaklinamy się,
Kościołem wojującym
Przebijamy się
Poprzez mrok najciemniejszy
W światło ogromne
Za murem nocy.

KAZIMIERZ WIERZYŃSKI

JÓZEF WINIEWICZ

ZWOLNIONE TEMPO

Trzeci tydzień ofensywy zimowej Rosjan potwierdził przypuszczenia, które mówiły, że Berlin jest jej celem nr. 1. Chociaż operacje Koniewa, który zdobył w stanie nienaruszonym Górny Śląsk oraz Rokossowskiego i Czerniachowskiego, którzy prawie całkowicie zlikwidowali już bastion wschodnio-pruski, miały olbrzymie znaczenie, to jednak widoczne jest, że Rosja przywiązuje największą wagę do zdobycia stolicy Rzeszy. Sądzi widocznie, że podczas gdy utrata Śląska da się odczuć dopiero po kilku miesiącach, upadek Berlina mógłby dać rozstrzygnięcie już teraz. Podobnie zresztą rozumował Hitler, gdy za wszelką cenę chciał zdobyć Moskwę. Rosjanie nie biorą całkiem serio zapewnienia niemieckiego, że Rzesza walczyć będzie dalej, również i za Berlinem. Liczą zapewne, że ustanawiając w stolicy rząd generałów z moskiewskiego komitetu zdoła ją politycznie powalić przeciwnika i dlatego śmiały manewr Żukowa wysunął się na pierwszy plan.

Na jego odcinku postępy były też najpoważniejsze. Na Śląsku Koniew, uchwyciwszy przyczółki na Odrze, zajęty był ich umacnianiem. W Prusach Wschodnich postępy w obliczu zwycięstwa były niewielkie. Natomiast Żukow, pozostawiając głęboko w tyle obleżony Poznań, dotarł do Odry w rejonie Frankfurtu i Kostrzyna. W ostatnich dniach jednak i tu tempo postępów sowieckich wyraźnie osłabło. Zresztą Żukow nie mógł przeć naprzód na wąskim froncie i musiał zająć się rozszerzeniem wierzchołka klina skierowanego przeciw Berlinowi. Rzeczywiście pod koniec tygodnia nastąpiło takie ubezpieczenie natarcia w sposób zaczepny przez działania zarówno w kierunku północnym, jak i południowym.

GRANICA OFENSYWY

W chwili obecnej wciąż jeszcze nie można dać odpowiedzi na pytanie, czy Rosjanom starczy „oddechu” do wzięcia Berlina w obecnej ofensywie, zanim Niemcy zdołają ochłonąć po straszliwej klęsce, ściągnąć świeże dywizje z innych frontów i przegrupować się. Istnieje pewna maksymalna granica postępów wszelkiej błyskawicznej kampanii, po której osiągnięciu nawet najbardziej zwycięska armia musi się zatrzymać, aby podciągnąć bazy i zaopatrzenie, zwłaszcza paliwo, naprawić sprzęt pancerny i t.d. Wynosi ona 500 do 600 km. czyli 300 — 350 mil. Teoretycznie więc Berlin jest w zasięgu tego gigantycznego skoku z nad Wisły. W praktyce niezawsze możliwe jest

osiągnięcie maksymalnej granicy.

Rozstrzyga wiele czynników. Jednym z nich jest pogoda, która w tym wypadku była bodaj „neutralna”. Najpierw silne mrozy niewątpliwie sprzyjały Rosjanom. Nie byli związani drogami, mogli posuwać się w otwartym terenie, a przede wszystkim przechodzili rzeki po lodzie, nie tracąc czasu na budowę mostów. Tak m.in. uchwycili przyczółki na Odrze. Następnie jednak przyszła nagła odwilż, co było korzystniejsze dla Niemców, gdyż zaopatrzenie wysuniętych oddziałów stało się utrudnione, a Odra stała się znowu poważniejszą zaporą.

Trudności zaopatrzeniowe Rosjan powiększa fakt, że Poznań tak uporczywie jest broniący, uniemożliwia to korzystanie z głównej linii kolejowej. Również garnizon Piły, całkowicie otoczony broni się jak dotąd zaciekłe, przez co druga wielka linia na wschód jest przecięta.

Jest więc możliwe, że przed ostatecznym natarciem na Berlin nastąpić będzie musiała pauza. Jak długo ona potrwa, oczywiście trudno jest powiedzieć. Niektórzy obserwatorzy w Londynie liczą się z przerwą dwumiesięczną czy nawet dłuższą, w czasie której front ustabilizowałby się nad Odrą. Natomiast korespondenci z Moskwy zapewniają, że Żukowski wystarcza dwa tygodnie na podciągnięcie baz zaopatrzeniowych. Jedno jest pewne: Rosjanom śpieszy się bardzo.

MOŻLIWOŚCI PRZECIWUDERZENIA NIEMIECKIEGO

Niemcy wciąż jeszcze nie zdobyli się na żadne przeciwuderzenie. Gen. Dittmar tłumaczył, że nie może ono nastąpić przedwcześnie i że tymczasem dowództwo niemieckie musi ograniczać się do akcji opóźniających. Ale zarówno on, jak i inni komentatorzy niemieccy wciąż obiecują, że nastąpi wielka kontrofensywa. Zresztą w charakterze niemieckim leży nie ograniczać się do obrony; Niemcy wierzą, że „der Hieb ist die beste Parade” — że atak jest najlepszą obroną; ostatnio zademonstrowali to przekonanie w Ardenach. Trzeba więc liczyć się z tym, że dowództwo niemieckie podejmie jeszcze jedną próbę opóźnienia katastrofy przez przeciwuderzenie na wschodzie.

Jednak możliwości takiego przeciwuderzenia z Pomorza niemieckiego i polskiego stale kurczyły się w miarę

utrąty najważniejszych węzłów kolejowych. Dziś, gdy Niemcy nie zdołali wykorzystać możliwości, jakie im dawały Prusy Wschodnie, przeciwuderzenie z Pomorza wydaje się raczej wątpliwe. Bardziej poważnie zarysowują się możliwości uderzenia na południowe skrzydło gigantycznego klina sowieckiego. Pewne doniesienia mówiły już zresztą o koncentracjach w rejonie Lipska i Drezn, skąd mogłoby wyruszyć do przeciwuderzenia. Istnieją po temu precedensy: stał na wiosnę 1813 Napoleon podjął kontrofensywę przeciw Rosjanom, którzy byli już w Berlinie.

Zdaje się nie ulegać wątpliwości, że Niemcy ścigają wszelkie rozporządzone siły do takiego przeciwuderzenia. Wiele dywizji z frontu zachodniego, gdzie dotąd Niemcy mieli około 80, jest w drodze na wschód. Lotnictwo sojusznicze potężnymi atakami na węzły kolejowe i na Berlin bardzo zresztą te transporty dezorganizuje. Inne dywizje ścigane są z Włoch, przy czym również silne naloty na linię przez Brenner poważnie je utrudniają. Zapewne Niemcy zdecydowali się też po niewczasie ewakuować Norwegię. Oczywiście przy bombardowaniach oraz drogach zapchanych uchodźcami, ruchy te nie mogą być bardzo szybkie.

ODWRÓT ZA REN?

Konieczność ratowania sytuacji na wschodzie zmusiła dowództwo niemieckie do całkowitej rewizji planów strategicznych. Wreszcie odkryło ono, że na niewiele zda się zdobycie Strasburga, czy utrzymanie Oslo lub Mediolanu, jeżeli jednocześnie padnie... Berlin.

Wydaje się, że Niemcy postanowili wycofać się za Ren. W ostatnich dniach Amerykanie na odcinku Monschau wtargnęli głęboko w głąb linii Zygfrйда, natrafiając jedynie na opór straży tylnych. Dalej na południe, w Alzacji, duży „worek” niemiecki koło Colmaru szybko znika: Niemcy wycofują się za Ren. Na całym froncie zachodnim panować ma nastrojów niecierpliwego wyczekiwania wielkich wydarzeń. Nie ulega wątpliwości, że sytuacja tu doznała gruntownego przeobrażenia.

Jednocześnie odwrót niemiecki z Włoch oraz ewentualne czasowe ustalenie się frontu na wschodzie sprawiłoby, że Niemcy znaleźliby się

w forticy wewnętrznej: na zachodzie broniłby przez Ren, na wschodzie przez linię Odry, na południu przez Alpy i na północy przez morze. W tym wypadku niektórzy komentatorzy, jak Scrutator w „Sunday Times” /4.II./, liczą się z możliwością, że na wiosnę Sojusznicy wtargnęliby jednocześnie do tej forticy z zachodu i wschodu, spotykając się gdzieś pośrodku północnych Niemiec: na linii Magdeburg-Hanower-Brema. Niemcy wycofaliby się na południe, gdzie oddawna — w górach Bawarii — przygotowują ostateczną obronę.

Trzeba się w każdym razie liczyć z tym, że nawet po upadku Berlina Niemcy nie skapitulują. Jeśli chodzi o elementy hitlerowskie, SS, Gestapo i t.d., jasne jest, że nie mają one nic do stracenia. Masy wydają się być raczej bierne, ale paniczna ucieczka przed Rosjanami wskazuje jak wielki jest strach przed nimi.

NA CO LICZA?

Nasuwa się pytanie, czy za przedłużaniem beznadziejnego oporu, którego następstwem — niezwykle pożądanym — musi być dalsze, wręcz bezprzykładne wyniszczenie materialne i osłabienie żywotnych sił narodu /do strat wojska i Volksturmu dochodzą obecnie olbrzymie straty ludności cywilnej podczas ucieczki w straszliwych warunkach/ kryje się jakaś określona nadzieja, iż jeszcze nie wszystko jest stracone. Otóż wydaje się, że wciąż jeszcze przykład Fryderyka Wielkiego pobudza wyobraźnię hitlerowców. W 1760 Rosjanie też byli w Berlinie, jednak w końcu, beznadziejne położenie uległo zmianie, gdyż Prusacy doczekali się chwili, gdy ich przeciwnicy pokócili się między sobą. Niemcy liczą, że to się powtórzy.

Trafnie stwierdza „Observer” /4.II./: „Jest rzeczą oczywistą, że Hitler nie przejmując się zbyt perspektywą całkowitego zniszczenia Niemiec czy zdziśiatkowania Niemców. Jest również oczywiste, że widzi wiele szans utrzymania się przy życiu dla ruchu nazistowskiego w świecie, który, jak się spodziewa, pchany będzie poprzez powszechne wstrząsy w Europie, ku trzeciej wojnie światowej”. Rzeczywiście tylko nadzieja na rosnące rozbieżności pomiędzy Sojusznikami podtrzymuje u fanatycznych hitlerowców wolę oporu do ostatka.

Najsukuteczniejszym ciosem dla niemieckiej woli walki byłoby wykazanie, że W. Brytania, Stany Zjednoczone i Rosja mogą dojść do porozumienia na zasadach, któreby zapewniły trwałą i sprawiedliwą pokój.

Jak dotąd nie ma jednak niestety wskazówek, by takie porozumienie było bliskie. Nawet w dziedzinie czysto wojskowej współpraca pozostawia dużo do życzenia. W ub. tygodniu opinia państw Zachodu została do głębi poruszona rewelacjami znakomitego korespondenta wojennego Alana Mooreheada w „Daily Express”, według którego dowództwo sojusznicze nie wiedziało, gdzie i kiedy Rosjanie zamierzają atakować i jakie są ich cele. Generałowie brytyjscy i amerykańscy na froncie zachodnim tyle wiedzą o froncie wschodnim, co każdy człowiek z ulicy w Londynie lub Nowym Yorku: to, czego dowiedzą się z gazet i radia!

Oczywiście uniemożliwia to wszelką uzgodnioną strategię. I nawet najbardziej przyjazny Sowietom dziennikarz angielski p. Cummings z „News Chronicle” z melancholią musiał stwierdzić /2.II./, że „jeżeli po tylu latach wojny brak nadal wspólnej strategii na polu bitwy, to jakże można mieć śmiałość oczekiwać wspólnej strategii politycznej, gdy nadejdzie chwila organizowania pokoju?”

Toteż pomimo zbliżania się końca wojny z Niemcami, nastroje na zachodzie wydają się bardzo przygnębione. Opinia demokratyczna coraz lepiej zdaje sobie sprawę z niebezpieczeństwa zmarowania wysiłków wojny. Bardzo znamienna była pod tym względem debata, jaka niespodziewanie wywiązała się w Izbie Gmin w chwili, gdy mężowie stanu byli już w drodze na spotkanie trzech. Jeden po drugim posłowie różnych stronnictw podnosili się, by ostrzegać, że jeżeli ideały Karty Atlantyckiej zostaną zarzucone, a Europa podzielona na dwie sfery wpływów, to uitorowana będzie droga do nowej, jeszcze straszliwszej wojny światowej.

W tym większym napięciu oczekiwane są wyniki konferencji Roosevelt-Churchill-Stalin, które być może będą znane w chwili, gdy te słowa ukażą się w druku. Czy obóz sojuszniczy zawróci z drogi wiodącej do katastrofy, a zapoczątkowanej w Teheranie? Oto jest pytanie, na które spotkanie trzech dać powinno lada dzień odpowiedź.

Londyn, 4 lutego 1945.

ALEKSANDER BORAY

Nowości lotnicze

Gdy się zestawia komunikaty sowieckie i niemieckie, zastanawia przede wszystkim fakt, że ani jedne ani drugie nie wspominają ani słowem o działaniu własnego lotnictwa. Mówiąc o przeciwniku, komunikaty niemieckie podkreślają ciągłe niebawmo przewagę w powietrzu lotnictwa sowieckiego, komunikaty sowieckie natomiast podają ogromne ilości samolotów niemieckich zdobytych na ziemi na lotniskach Prus Wschodnich, Polski czy Niemiec.

Cyfrы są bardzo wysokie: n.p. w Poznaniu oddziały armii Żukowa miały zdobyć około 300 samolotów na ziemi, gdy w Oels około 150. Liczby zestrzałów w powietrzu podawane przez radio sowieckie są natomiast niskie i zawierają dane dla całości frontu.

Wszystko to nasuwa przypuszczenie, że lotnictwo niemieckie jest na wschodzie bardzo słabe.

Pisma neutralne podały wprawdzie, że olbrzymia część Luftwaffe została przerzucona z zachodu na wschód, co zdaje się potwierdzać fakt, że Niemcy zaprzestali ostatnio działań powietrznych zarówno w Belgii, jak w Holandii, jak również w rejonach południowo-zachodnich Rzeszy. Potwierdza to także fakt, że naloty bombowców sprzymierzonych nie są prawie zupełnie atakowane przez niemieckie lotnictwo obronne. Mimo to jednak odpowiednie wzmocnienie lotnictwa niemieckiego na froncie wschodnim nie dało się jeszcze odczuć.

Również komentatorzy niemieccy — poza komunikatami oficjalnymi — zajmują się bardzo lotnictwem sowieckim. Tygodnik „Flight” cytując wypowiedzi na ten temat kientora specjalisty, oficjalnego komentatora hitlerowskiej agencji „Transocean” Karola Zeppellina. Podobnie jak Dietmar dla całosci sił zbrojnych rzeszy, Karl Zeppellin naświetla sytuację w powietrzu w sposób, którego wymaga Goebbels.

Karl Zeppellin przedstawiał ostatnio bardzo barwnie i długo walki powietrzne w Prusach Wschodnich. Twierdził, że nie da się opisać nawały samolotów sowieckich, jakie nalaływały na małych nawet odcinkach na pozycje niemieckie. „Należy je liczyć w tysiące” — mówił. Poza tym stwierdzał, że jakość lotnictwa sowieckiego poprawia się ogromnie i że obecnie w miejscach przestarzałych, pojawiły się po stronie sowieckiej zupełnie nowoczesne lekkie bombowce oraz samoloty myśliwskie, szybkie, o dużej sile ognia, odpowiadające nowoczesnym wymogom współpracy z ziemią.

Nie mamy żadnych danych, by powiedzieć z całą pewnością, czy wynurzenia Zeppellina są prawdziwe.

Jednak na pewno muszą one mieć swój cel i sens propagandowy. Trzeba więc zapytać — jaki jest ten cel? A więc: albo szukanie wytłumaczenia gwałtownej porażki na wschodzie przewagą nieprzyjaciela, albo też, dla ukrycia rzeczywistego stanu rzeczy — świadome wykazywanie, że lotnictwo niemieckie jest już tak słabe, że nie jest w stanie obronić swych własnych wojsk.

Ze lotnictwo sowieckie jest silne, to nie ulega żadnej wątpliwości. Jak pisaliśmy, znowy oceniając jego skład liczebny na froncie wschodnim na 10 — 15 tysięcy samolotów. Jednak choć wiemy o nim nie wiele, to wiemy jednak na pewno, że jakość lotnictwa sowieckiego w dalszym ciągu stoi w tyle za jakością lotnictwa niemieckiego, a co za tym idzie — w tyle za lotnictwem Sprzymierzonych.

Zastanowić się należy dalej, czy rzeczywiście lotnictwo niemieckie jest dziś tak słabe, że nie jest i nie będzie w stanie wykonać zadania obronnego na wschodnim froncie? Przecież jeszcze niedawno wdziliśmy mocny zryw tego lotnictwa w czasie grudniowych walk

w Belgii i Francji, zryw, który kosztował Amerykanów i Brytyjczyków wiele. Jeszcze niedawno temu także bombowce Sprzymierzonych napotykały na bardzo silny opór nad czuymi punktami Rzeszy, w miejscach, gdzie trzeba było bronić fabryk lub doświadczałnych zakładów technicznych.

Gdzież się tedy podziała Luftwaffe? Gdzież przepadła i to w chwili, gdy bezpośrednio zagrożona została stolica Rzeszy, gdy trzeba było ostatnim nienaruszonym przez lotnictwo alianckie okręgów przemysłowych i fabrycznych? Odpowiedź nie jest łatwa.

Postawiliśmy ostatnio tezę, że Niemcy nie spodziewali się ataku sowieckiego aż tak szybko. Możemy ją podtrzymać nadal. Przypuszczamy więc, że po stratach, które Luftwaffe poniosła w ciągu ofensywy Rundstedta na zachodzie — poważna ilość dywizjonów została wyłączona z walki. By je z powrotem do walki wprowadzić, trzeba je przebroić, uzupełnić personel, zorganizować na nowo i dopiero potem przewieźć na odpowiedni odcinek. Rekord, jaki osiągnęli Niemcy w doprowadzeniu

rozbitych jednostek lotniczych znowu do stanu gotowości i użytku, wynosił dwa tygodnie. Tym razem zdaje się zabrakło właśnie nawet tych dwóch tygodni czasu. Dowództwo sowieckie doskonale obliczyło czas uderzenia, wyszukując wszystkie potrzebne elementy zwycięstwa: pogodę dla siebie najbardziej odpowiednią, a więc mgły i śnieżyce, wyłaczające działalność lotnictwa /co znowu nie pokrywało by się z tezą ogromnej przewagi w powietrzu/, dalej mrozy, które pozwoliły na obejście nieprzyjacielskich linii obronnych, a nado, co najważniejsze: okres pobitewny, w którym najlepsze i najbardziej bitne oddziały niemieckie, zarówno jak i niemieckie lotnictwo, były wyczerpane pierwszą fazą nadzwyczaj intensywnych walk, gdy ponadto wszystkie odwoły były zorientowane w kierunku zachodnim.

Ani dowództwo wojsk lądowych, ani też dowództwo Luftflotte nie były w mocy, przy takim stanie rzeczy, przystąpić natychmiast do przerzucenia potrzebnych posiłków na front wschodni. Należy przypuszczać, że

wobec wagi sytuacji zreorganizowane jednostki lotnicze są teraz stopniowo wprowadzane, w miarę swej gotowości, do zatykania najgroźniejszych dziur, wybitych przez armie rosyjskie. Jest to bardzo niebezpieczna taktyka, która z reguły nie prowadzi do niczego, tylko do stopniowego zużycia nowych jednostek, bez wpływu na ogólną sytuację bojową. W taki sposób najłatwiej niszczyć odwoły.

Luftwaffe znalazła się przy tym w bardzo trudnej sytuacji zaopatrzeniowej. Jeszcze w czasie najbardziej intensywnych bombardowań zachodnich terenów Rzeszy, centralne instytucje zaopatrzenia lotnictwa niemieckiego zostały przeniesione na wschód, w rejonu albo dziś już przez nieprzyjaciela zajęte, albo bezpośrednio zagrożone. Z powrotem na zachód przenosić ich nie można. Na dalszą rozbudowę fabryk podziemnych w centralnej Rzeszy jest zbyt późno.

Postępy wojsk sowieckich są za szybkie, by można było reorganizować na nowo wszystko to, co się już raz zreorganizowało rok czy półtora roku temu. Wielki program rozbudowy nowego lotnictwa propulsyjnego, opóźniony z niewiadomych nam przyczyn, miał odegrać rolę dopiero gdzieś późną wiosną.

Niemieckie bronie dalekosiężne, te tak silnie propagowane „Wunderwaffen” są bardzo skuteczne przeciw wielkim portom, czy skupiskom ludzkim, lecz zupełnie nie wydajne w wojnie ruchowej. Ilość lotnisk operacyjnych pozostaje bardzo szczupła, gdyż w latach między 1940 — 44 rozbudowywano lotniska poza Rzeszą, nie zaś w samej Rzeszy, te ostatnie pozostawiając w stanie zaniedbanym. Brak surowców i brak paliwa. Niewątpliwie niemieckie dowództwo rozporządza jeszcze znacznymi rezerwami gotowych samolotów myśliwskich, lecz samoloty te nie zaważą na szali toczącej się bitwy o życie lub śmierć Trzeciej Rzeszy.

Tak! Lotnictwo niemieckie jest w tej chwili słabe. Miesiąc temu nie zdołało uzyskać przewagi na zachodzie, dziś nie jest w stanie wywalczyć jej na wschodzie.

Nadchodzi w tej chwili zmierzch tej siły, którą Hitler chciał opanować świat. Może jeszcze przed ostatecznym zgonem zechce rzucić się na przeciwnika całą swą mocą, lecz swego losu już nie odmieni.

Dlatego przypuszczać należy, że dowództwo niemieckie zdecyduje się zastąpić brakującą lotnictwem innymi środkami. Jakże mu pozostają? Właściwie w tej chwili — tylko gazy bojowe. Kto wie, czy Niemcy nie rzucą na szalę tego ostatniego środka ratunku? ...

M. J. GORDON

Z tygodnia na tydzień

29 stycznia: Wojska sowieckie zajęły na terenie Rzeszy Niemieckiej: Trzebiankę /Schönlanke/, Krzyż, Drezdno /Driesen/ i Dobiegniewo /Woldenberg/. W Polsce zajęły Nowy Targ. Walki toczą się na ulicach Torunia i Poznania.

— Wojska amerykańskie wdarły się do Rzeszy w rejonie Oberhausen, na wschód od rzeki Our.

— Król Jugostawii Piotr II przekazał władzę radzie regencyjnej.

30 stycznia: Ogłoszono, że oddziały Armii Krajowej współdziałały z wojskami sowieckimi w walce o Kraków.

— Wojska sowieckie walcą w rejonie m. Międzyrzecz i m. Cylchów.

— W Izbie Gmin w dyskusji nad polityką zagraniczną poruszono sprawy polskie.

31 stycznia: Czolgi sowieckie przekroczyły Odrę na ptn. od m. Ślubice /Frankfurt/. Wojska sowieckie zajęły Gorzów /Landsberg/.

— Wojska amerykańskie walcą na wschód od Monschau.

— Rząd czechosłowacki uznał „pro-wizoryczny rząd polski w Lublinie”

i postanowił nawiązać z nim stosunki dyplomatyczne.

1 lutego: Wojska sowieckie zdobyły Toruń. Na obszarze Poznania toczą się dalsze walki. Niemcy zajęli Wschowę /Fraustadt/. Pół została otoczona przez wojska sowieckie.

— Niemcy podali, że wojska sowieckie dotarły do Kistrzyna.

— Wojska amerykańskie wdarły się na pozycje Einii Zygfrйда na pld.-wsch. od Monschau.

— Radio Kair podało, że rozpoczęła się konferencja Trzech Mocarstw.

— Ogłoszono, że rząd polski zerwał

ś.p.

ARTUR SUMIŃSKI

ppor. rez. W.P.

ur. 11.XI.1908 zmarł w szpitalu w Indiach jako oficer wojsk bryt. dnia 25.XII.1944 o czym zawiadamia

Bracia

stosunki dyplomatyczne z rządem czechosłowackim.

2 lutego: W nocy z 1/2 lotnictwo brytyjskie bombardowało silnie Niemcy m.in. Moguncję, Ludwigshafen i Berlin.

— Wojska francuskie zajęły Colmar.

— Wojska sowieckie zajęły Myślibórz /Soldin/ i Drożyn /Drossen/ na ptn. wsch. i wsch. od Ślubice /Frankfurt/. W rejonie Poznania dalsze walki.

— W Bułgarii został wykonany wyrok śmierci na trzech byłych regentach.

3 lutego: W nocy z 2/3 lotnictwo brytyjskie silnie bombardowało Niemcy.

— W południe 1.000 „latających fortec” bombardowało Berlin.

— Wojska sowieckie zajęły Sonnenburg na wsch. od Kistrzyna.

4 lutego: Wojska sowieckie zajęły Bärwalde na linii kolejowej Szczecin-Kistrzyn.

— Samoloty brytyjskie atakowały statki i okręty niemieckie na ptn. zach. od Zatoki Gdańskiej.

Listy o wspólnych sprawach

List pierwszy

Kochany
List Twój otrzymałem i bardzo Ci dziękuję za pamięć. Pisziesz o tylu rzeczach, że z pewnością w jednym moim liście nie zdolam Ci odpowiedzieć na wszystkie pytania. W dodatku piesz, że ciągle zmieniasz przydziały i nie masz stałego adresu pocztowego.

Odpisuję Ci więc przez "Polskę Walczącą", bo chociaż to wszystko jest tylko pomiędzy Tobą i mną, ale i Ty i ja jesteśmy żołnierzami i każdy żołnierz zrozumie naszą wymianę myśli zupełnie tak samo, jak ja Ciebie i Ty mnie rozumiesz.

Pisziesz mi, że Ci ciężko — pytasz się co ja o tym myślę.

Odpowiedź nie jest łatwa — a na wiele w ogóle trudno komukolwiek odpowiedzieć. Wydaje mi się jednak, że i w tym stanie można wprowadzić jakiś ład.

Widzisz, to co teraz obaj przeżywamy, można nazwać chyba troskami ludzi o bardzo ograniczonych możliwościach działania, w obliczu wielkich, wszelką miarę przerastających zdarzeń.

Co masz robić, co mamy wszyscy robić, co będzie?

W ten sposób nie dojdziemy do niczego. Przede wszystkim musimy ustalić nasze miejsce, a wtedy łatwiej już dojdziemy, co nam robić wypada.

Pisziesz, że sytuacja nasza jest wyjątkowa i rozpaczliwa. Nie mogę zgodzić się z Tobą. Sytuację akurat tak samo "wyjątkową i rozpaczliwą" przeżywali dziadowie i pradziadowie nasi i niewątpliwym mazaństwem jest biadolenie o jakiejś wyjątkowości z tego losu.

Inna rzecz, czy ci, którym los jest łaskawszy, pracą swą zasłużyli sobie na to, ale to już zupełnie inne pytanie i zostawimy je na bok.

Więc tak jak już napisałem, w naszej sytuacji dzisiejszej historycznie nie wyjątkowego nie widzę. Ani najazdów, ani grabieży, ani gwałtów, ani zdrady czy obtudy, nikt teraz nie wymyślił na nowo — tak samo, jak nie jesteśmy pierwszymi żołnierzami polskimi, co bliźni swoje i swoją tęsknotę po dalekich ziemiach obnoszą.

Gdzieś po świecie, dla innych narodów, norma jest, że żołnierz po wojnie siedzi sobie na stonczku, wygrzewa się pięknie i cuda niewidziane — niesłychane o sobie opowiada, medale pokazuje i zbiera

ra pochwały. Polak nie powinien nigdy sięgać myślą do takiego obrazu.

Żołnierze Kościuszki — gnili na Sybirze.

Po 1831 — obrońców wolności jako zdrajców karały carskie sądy. ...Po styczniowym powstaniu — wstąpił "Virtuti Militari" nosili moskiewscy siepacze "za uśmierzenie polskiego buntu".

To wszystko już bywało nie raz i nie dwa, a mimo to zawsze znalazły się ręce, by sztandar z Orłem Białym jeszcze raz na przekór wszystkiemu i wszystkim podnieść do góry. Taki los właśnie wydaje mi się być rzeczą zwyczajną u polskiego żołnierza! Łatwiej Ci będzie, gdy to zrozumiesz — pomyśl!

W chwilach przełomowych, wtedy zwłaszcza, gdy wypadki toczą się szybko i przerastają ogromem nasze siły, wydaje się nam jakbyśmy byli widzami jakiegoś niewiarogodnego widowiska, które ktoś inny gra przed nami.

To nie jest tak.

W tym wielkim dramacie dziejowym my też jesteśmy aktorami. Za lat sto, kiedy już nikogo z nas nie będzie, następne pokolenia ocenią naszą rolę, nasz wkład, naszą pracę — wszystkich nas razem i każdego z osobna. I tak jak my wiemy dziś, co i jak czuli żołnierze legii Dąbrowskiego, przed czterema pokoleniami, tak i wnukowie nasi ocenią nas — dzisiejszych.

Oceniać oni będą przede wszystkim, bo tak jest zawsze i tak też i tym razem będzie, czyśmy dorosli, czy też nie dorosli — do zadań, jakie czas nas nam postawił.

To jest zupełnie co innego, niż to, czy nasza osobista historia skończy się szczęśliwie czy też nieszczęśliwie.

I tu nie ma żadnych wykrętów, żadnego: był, czy nie było rozkazu. Nie ma funkcji, nie ma stanowiska tak małego, za które nie trzeba będzie dać odpowiedzi.

Dorost — czy nie dorost? Zro-

bił do końca wszystko co mógł, czy zapał, lub też — przepraszam — mówimy sobie całą prawdę: a może zabrakło serca ...?

Gdy Ci to piszę nie mam na myśli tylko tego, co się w wojsku nazywa spełnieniem obowiązku. Obowiązek taki, jakiegoś to rozumieli dawniej przed wojną, za czasów, które nazywasz "normalnymi" i które są normalne dla wszystkich ludzi na świecie z wyjątkiem nas Polaków, jest czymś, co łączy się z przepisem, nakazem, rozkazem czy w ogóle jakim ustalonym porządkiem, gdzie z jednej strony są jakieś prawa, a z drugiej jakieś obowiązki.

Gdy świat cały zdaje się raz po raz odmawiać nam praw do istnienia — pojęcie o b o w i ą z k ó w Polaka nie jest takie proste, jak dla innych narodów. Musi być ono oparte głębiej i mocniej — nie normalnie. I wydaje mi się, że to, czego od nas wymaga historia, to, na czym oparty każdy obo-

wiązek wyda się łatwy i prosty, jest tym, co bywa potocznie nazywane postawą moralną wobec życia.

Kiedyś może postaram się Ci wyjaśnić szczegółowiej, jak postawa moralna w każdym człowieku dojrzewa i kształtuje się. Są to rzeczy ciekawe i pouczające. Dziś było by to zbyt długie, a sama rzecz jest dość jasna.

Znamy ludzi, którzy w każdej okoliczności, najcięższej nawet wiedzieli zawsze, co jest białe, a co czarne i jak się mają zachować i innych, słabszych, co się gubili do cna przy pierwszej napotkanej przeciwności — umieli dla swej postawy zjednać.

Twarda, konsekwentna postawa moralna ma to do siebie, że jest źródłem siły nie tylko dla tego, który ją w sobie wyrobił, ale udziela się otoczeniu. Ten rys właśnie wyszukuje historia — po latach oceniają jednostki i społeczeństwa.

I żadna sytuacja nie jest "rozpaczalna" dopóki zasady, na których opieramy naszą postawę moralną nie uległy rozkruszeniu.

Wielu można wymienić wodzów i polityków, którzy dawniej i dziś Polskę raz na zawsze chcieli wymazywać z mapy Europy. Ktokolwiek zna historię, wie dobrze jak zamiary te zawsze musiały spełznąć na niczym, gdyż właściwa postawa moralna wobec najgorszych przeciwności wydaje się czymś wrodzonym dla Polaków.

Chciałbym Ci jeszcze przypomnieć, jak pytałeś się niemal o to samo w 1939 roku, pod ogniem, na Pradze, niedaleko miejsca gdzie kiedyś odpierając szturm Suworowa zginął generał Jasiński. Pytałeś: co będzie?

Czy pamiętasz co wam wtedy powiedziałem, że za sto lat małe dzieci polskie uczyć się będą czytać i pisać na historii tej bitwy.

Dziś twierdzę to samo. W dalszym ciągu musimy mieć taką postawę moralną — by w s z y s t k o o nas mogło trafić do elementarza. A jak taki smarkacz na Twojej historii robi za sto lat kleksa — to będzie musiał wszystko od początku porządnie przepisać na czysto.

O innych sprawach napiszę za tydzień.

Twój kochający Cię brat.

JAN

Polegli na Polu Chwały w czasie walk na kontynencie:

s.p.
mjr. Edward Zan-Kreyser
Grand Mesnil, Normandia, 19.VIII.44.

s.p.
kpt. Stanisław Ostrowski
Grand Mesnil, Normandia, 19.VIII.44.

s.p.
kpt. Jerzy Wendeker
Tilly, Normandia, 9.VIII.44.

s.p.
por. Zdzisław Raczkowski
Tilly, Normandia, 9.VIII.44.

s.p.
ppor. Michał Wierzchaczewski
Tilly, Normandia, 8.VIII.44.

s.p.
ppor. Janusz Jodko-Narkiewicz
kawaler orderu wojennego
"Virtuti Militari" kl. V.
Grainville-Lagannerie, Normandia,
13.VIII.44.

s.p.
ppor. Edward Owczarek
kawaler orderu wojennego
"Virtuti Militari" kl. V.
Axel, Holandia, 17.IX.44.
— o czym zawiadamiają —
Dowódca, Oficerowie i Szeregowi
... Pułku Artylerii Motorowej

W dniu 5 lutego 1945 odprawione zostało w kaplicy Baonu Strzelców Podhalańskich nabożeństwo żałobne za dusze

s.p.
kpt. Władysława Sino-Misiewicz
kpt. Edwarda Bednarskiego
kpt. Michała Bochniewicza
por. Jana Sucheckiego
ppor. Józefa Pietrowskiego
ppor. Bronisława Krajewskiego
ppor. Bronisława Trybasa

ppor. Jana Malanowskiego
ppor. Zbigniewa Kwiecienia
oraz szeregowych Baonu Strzelców Podhalańskich, poległych na Polu Chwały —
o czym zawiadamiają
Dowódca, oficerowie i szeregowi Baonu Strzelców Podhalańskich

Na szlaku Dywizji Pancерnej: Gandawa

Urywki z nienapisanej książki

Szliśmy przejmować od Anglików zdobytą przez nich południową część Gandawy. W części północnej siedzieli jeszcze twardo Niemcy i rabali ogniem artyleryjskim Gandawę romantyczną. Był poranek wrześniowy jak w Polsce — chłodny i słoneczny, tylko pola inne niż w Polsce, całe pola kwiatów o wszystkich odcieniach czerwieni: pole różowe, pole ciemnoróżowe, pole szkarłatne. Flamanowie uprawiają hodowlę kwiatów dla jakichś tam celów przemysłowych, tym nie mniej wyglądają one zupełnie czarująco. W szczególności do chwili przejechania przez pole szwadronu czołgów.

Już na wiele kilometrów przed Gandawą, we wszystkich osiedlach, przed wszystkimi domami, stały grupki, grupy, szeregi lub tłumy mieszkańców. Domy udekorowane jak jeden wielkimi flagami belgijskimi.

Flagi są bardzo pomocne. Tam gdzie miasto jest kolorowe od flag, oficer łącznikowy, jadący z rozkazami ku frontowi, wali szeszędziesiątką i najbardziej lekkomyślnie przez ulice Gandawy, zważając tylko na to, aby wyglądać równie wdzięcznie jak walecznik, i zajęty jest wyłącznie chwytaniem w lot kwiatów i uśmiechów ładnych dziewczyn. Im bliżej do północnego skraj miasta, tym rzadsze są flagi, natomiast więcej gruzów leży na ulicach i domy podmiejskiej biedoty bardziej są poszczerbione granatami. Nikną z ulic umyte i ładne dziewczyny, pojawiają się przestraszone rodziny brudnych, wystraszone nędzarzy, uchodzących przed wojną. Taszczą na plecach tobołki, pchają przed sobą wózki z małymi dziećmi i z dobytkiem. Znow są małe dziewczynki, piastujące w objęciach ukochanego kota. Jak w Polsce.

Z narastaniem tych objawów maleje tempo szarzy scout-cara,

zmienia się postawa "węgierki" /pseudonim każdego oficera łącznikowego — zupełnie oficjalnie wola się: "jeden węgierko do mnie!"/ z wdzięcznej i walecznej na waleczną tylko, a później po prostu na uważną. Przy ostatniej fładze — później są już tylko gołe mury i coraz więcej gruzów — już nie wypatruje uśmiechniętych oczów i zgrabnych nóg, odbezpiecza za to Brenę i sprawdza jak mu broń chodzi w jarzmie.

Tym razem cały kraj jest kolorowy od flag i od uśmiechów dziewczyn, które zarzucają kwiatami i owocami samochody, czołgi, scout-cary, carryery i ciągniki. Żołnierzy ogarnia jedynie w swoim rodzaju uczucie: zwycięzców wkraczających zbrojnie do zdobytego kraju. Wiele stracił ten, kto takiego triumfalnego wjazdu nie przeżył choć raz w życiu. To jest więcej, niż taka czy inna nowa wstążka na piersi. To jest uczucie, którego nie można kupić, jak się kupuje wygodne życie, wino, książki, podróże, miłość.

W momencie krótkiej przerwy między Bitwą Normandzką a Pościem, wskoczyłem na krótką chwilę wraz z moim przyjaciółm Ludwiczkiem do Londynu. Siedząc na sali dancinowej w "Dorchesterze", przyglądał się mi młodym i starszym korpulentnym panom, pijącym szampana i tańczącym namiętne tanga ze ślicznicami, młodymi dziewczynami, tulącymi się z miłością i oddaniem do nabrzmiałych od portfela piersi korpulentnych panów. "Popatrz — powiedział Ludwiczek — to są ci, co się grzeją przy kominku, podczas gdy my jesteśmy drwami, którymi się na kominku pali".

Przyznałem mu rację. Mimo wszystko jednak, za nic nie zamie-

niłbym się na los pana, grzejącego się przy kominku. Wolę się na nim palić, ale za to wjeżdżać do zdobytych miast. Tego nie można kupić.

Uczucie triumfu i dumy odbija się w sposób specyficzny na działalności mojego kierowcy. Im większy jest tłum, im więcej dziewczyn, im ładniejsze dziewczyny, tym silniej dusi on akcelerator, aż wreszcie "Cromwell" z rykiem pułku koni, zaklętych w jego silniku, zaczyna iść najwyższą, zupełnie niedopuszczalną szybkością. Jak za dawnych czasów, wjeżdżając do Białej Cerkwi, ulan drażnił konia wewnętrzną ostrogą, żeby pod nim tańczył i kokietował za siebie i za ulanę, tak i teraz St... wykorzystuje "Cromwella" dla celów uwodzieńskich, tym razem już nie tylko na własny indywidualny rachunek, ale na rachunek i dobro całej załogi. Popatrzcie się, jak to jeżdżymy my, Strzelcy Konni. Zimną wodą oblewa go dopiero głos w słuchawkach: — "St... nie wariuj".

Takiej wojny jaką mieliśmy w Gandawie, tośmy jeszcze nie mieli i pewno nigdy nie będziemy mieli. Sztab stał w najpragmatyczniejszym hotelu. Przed hotelem, nie dla potrzeby, ale dla fasonu, stały po obu stronach wejścia, na warcie, dwa "Cromwelle", patrząc łufami armat na miasto. Wozy dowodzenia na placu przed hotelem. Dowództwo artylerii w barze hotelowym, który w międzyczasie działał jak gdyby nigdy nie. Przy barowym stoliku pod oknem oficerowie artylerii przy telefonie i wyciągniętych z czołga remote-controlach podawali komendy, nakładali których nad miastem jechały z szumem, jak tramwaje, ciężkie pociski, podczas gdy w ba-

rze naród wojskowy i cywilny /przeważnie poci odmiennego/ raczył się uczciwym koniakiem.

Na placu Broni, przed hotelem, prócz wozów dowodzenia i ośrodka łączności, stał permanentnie starszy Strzelec Konny Piter, który wreszcie po czterech latach udęczenia w Szkocji i Anglii, znalazł zastosowanie dla swej znajomości języka francuskiego. Wędrowały do niego pielgrzymki gandawskich mieszczan, jako do kryjki mądrości i informacji. Piter dobrotliwie częstował wszystkich papierosami i uprawiał dobrowolnie i z zamiłowaniem propagandę 1. Dywizji Pancерnej. Po paru godzinach Piter stał się postacią równie popularną jak cenioną w mieście Gandawie i okolicy. Na placu Broni sformowała się "queue", kolejka mieszczan, pragnących dostąpić zaszczytu zaproszenia Pitra na śniadanie lub na obiad. Wieczorami w barze "artyleryjskim" pojawiali się Chantal, Anik, Marie José — panienki pracujące w dowództwie Belgijskiej Armii Podziemnej, dziewczętnastolatki, na nogach zaczynających się chyba pod szyją. Wymukle stworzenia o buziach cherubików, goliły koniak, jak starzy dragoni.

Do bitwy jechało się tak: po wydaniu rozkazów i odprawie, która odbywała się "tam", dowódca o godzinie H mniej 30 minut, wychodził ze swojej suity pokójów /z łazienką/, nakładał rękawice zwane w Polsce muszkieterkami, wieszał na szyi lornetkę i dosiadał "Cromwella", podczas gdy nad miastem szumiało i gwizdało już przygotowanie artyleryjskie. Później posterunek bojowy — dwa "Cromwelle", dwa scout-cary — jechał przez miasto, przez ulice obstawione szpalarami ludzi, krzy-

żących, rzucających kwiaty, wymachujących chorągiewkami belgijskimi i — już — polskimi. St... na ten widok wpadał w entuzjazm i nadużywał akceleratora. Skutkiem tego posterunek bojowy przelatował przez miasto jak burza, z rykiem "Cromwelli". Na antenie "A" — jak na lancy — łopotał od pędu i od wiatru proporzec dowódcy.

Później wjeżdżało się w kraj bez flag, przez ulice zasypane świeżymi gruzami, śmierzdzącymi spaleniźną, jak Normandia — w no man's land, w ogień moździerzy, przez który szło natarcie Brygady Strzelców, wsparte Pułkiem Ułanów. Granaty wyrzucały w górę fontanny czarnej ziemi. Zjadliwie trąkotały Spandau'y i Browningi i Breny. Pod krzakami walały się pokrwawione tłumoki w zielonych mundurach.

Miasto czekało na ulicach, wsłuchując się w odgłosy walki, stopniowo przesuwające się ku północy. Gwizdaniem i krzykiem przyjmowało samochody, wiozące w tył wychudłych jeńców, groźnych spadochroniarzy niemieckich w centkowanych kurtkach. Milczeniem pełnym grozy i żalu jepejy z noszami, na których obandażowanych, pokrwawionych, brudnych od potu i kurzu, wieziono rannych Polaków. Tych, którzy zapłacili teraz za uśmiechy, kwiaty i białe czerwone chorągiewki na ulicach Gandawy. Jak i ci, zakopani przed chwilą bez trumien, w płytkich dolkach czarnej ziemi flandryjskiej.

I nie ma się nad czym rozczulać. To jest żołnierska rzecz i żołnierski los. Nic lepszego nie możemy teraz robić my Polacy, niż bić się z Niemcami. Wypełnić testament księcia Józefa Poniatowskiego: "Faites sonner le nom Polonais".

ŻOŁNIERZ Z 1-EJ PANCERNEJ

I.

Słowa te poświęcam załodze Jasia nie dlatego, że dokonała jakichś nadzwyczajnych wyczynów. Nie. Załóg takich było wiele i wiele może poszczycić się znaczniejszymi sukcesami. Wybrałem jednak „Janową załogę”, bo żyłem z nią bardzo, bo lataliśmy razem od pierwszego do ostatniego lotu.

A ten ostatni, związał nas nicią uczuć nie tyle koleżeńskich, ile wprost braterskich. Był to lot, z którego nie powróciliśmy do bazy. Szef eskadry wpisał w ewidencję przy naszych nazwiskach krótkie: „Missing 16.8.43...”, a koledzy „oblewali” wieczorem smutny nasz koniec. Snuli domysły, w jakich okolicznościach śmierć zabrała nam w oczy, wzdychali...

A że byli to wszystko starzy weterani lotniczy, więc widzieli ów wypadek w najbardziej czarnych kolorach. „Kundzio” wziął kufel piwa do ręki, uczynił kilka czarów i drżącym głosem zaczął naśladować Ossowieckiego:

— „Widzę ich, lecą. W maszynie cicho. Złe przeczucia. Księżyc świeci. A oni lecą. Zbliża się myśliwiec. Od księżycy. Nie widzą go. Daje serię... Panowie — palą się...”

Wszystkie następne obrazy wizji „Kundzia” były przetykane kolejkami podwójnych „drinków”, toteż cały dramat „Janowej załogi” uplastyczniał się i z wrażliwych dusz wyciskał łzy, a z baru ostatnie kropki alkoholu.

A myśmy tymczasem deptali ze zdwojoną energią ziemię francuską, by jak najszybciej oddalić się od szczątków Halifaxa „J” i by jakos zmazać ślady pogoni i nie korzystać z gościny niemieckiego obozu dla jeńców. Okoliczne lasy dały schronienie.

Co było dalej, opowiemy po wojnie, gdy twardy stróż tajemnicy wojskowej — cenzor — pójdzie na zasłużoną emeryturę.

II.

Jasio — nasz pilot i dowódca załogi, był człowiekiem żonatym. Nie można więc brać mu za złe, że oczekiwał się potomka właśnie wtedy, gdy załoga jego miała 24 loty operacyjne. Wprawdzie Kazio-nawigator, obliczył, że pozostałych do ukończenia kolejki sześć lotów, możemy zrobić nawet w ciągu tygodnia. Pozwolił więc sobie zaznaczyć nawiasowo, że Jasio najniepotrzebniej pośpieszył się o ten jeden tydzień.

Fakt jednak stał się faktem. Żona przysłała telegram: „Zostałeś ojcem córki”. To, że córka nie syna, też wybaczyliśmy mu, chociaż każdy z nas gotów był głowie dać, że Jasio może mieć tylko synów. Chłop jak dąb. Nawalił!

Na telegram ów odpowiedział telegramem, że jutro przed potomkiem posłusznie się zamelduje.

Myśmy zaczęli rozważać, jakie podarki najbardziej przypadną dzieciakowi do gustu. Władek — mechanik pokładowy, powiedział, że „jak podejdzie karta, kupi wózek dla córki załogi”. Wiedzieliśmy już na pewno, że córka załogi będzie musiała chodzić piechotą.

„Janowa załoga”

„Urodzinowe rozważania” przerwała wiadomość z „operation”. Załoga nasza dziś leci na wojnę. Odprawa o 16-ej. Czas lotu — około siedem godzin.

III.

Każdy lotnik musi wierzyć w przesady. Jeśli nie wierzy, a pech chce, że coś się stanie, żyjący koledzy powiedzą wówczas z westchnieniem:

— „Sam sobie winien. Dlaczego poleciał, skoro:

... „dostał telegram, że córka mu się urodziła”...

... „zostawił haubę w samochodzie i trzeba było po nią wracać”...

... „miał już kartę urlopową w kieszeni i dziś właśnie powinien wyjechać do żony”... i t.d. i t.d.

Nikt oczywiście nie potrafi udowodnić, że gdyby nie poleciał, zostałby w gronie żyjących. Wszyscy jednak wierzą głęboko, że stało się to jedynie z przyuczyny ignorowania „świętych praw przesady”!

IV.

Przed każdym lotem, szliśmy fasaować w magazynie spadochrony. Anglik, który tam obsługiwał, pytał się zwykle każdego:

— „Czy dopasować szelki?”

Zwykle odpowiadałem mu:

— „Nie trzeba. Wcale nie wybieram się skakać”...

Dawał mi więc spadochron i na tym się kończyło.

Kiedy zjawiałem się w dniu ostatniego naszego lotu, a on znów rzucił swoje „zawodowe pytanie”, zastanowiłem się przez chwilę, ale by nie okazać, że coś się we mnie zmieniło, odrzekłem:

— „Nie trzeba” i t.d.

A on, pierwszy raz, dodał:

— „Nigdy nie możesz wiedzieć, co tam na ciebie czeka”.

Sentencja, zupełnie zresztą nie na miejscu, trochę mnie zdenerwowała. Aby mu jednak udowodnić, że słów tych nie biorę zbyt do serca, chwyciłem pierwsze z brzegu szelki i „podminowany” wyszedłem.

V.

Kiedyśmy ruszali spod baraku, w którym mieściły się nasze szafki z ekwipunkiem do maszyny, koledzy stojący przy samochodzie kiwali zwykle rękami, uśmiechali się, żartowali „na odjeżdżne”.

Tym razem nie spojrzeli w naszą stronę. Szczególnie zadziwiło to radiotelegrafistę — Romcia. Nie zwróciliśmy jednak na to specjalnej uwagi. Ot, lepiej zapalić i nie myśleć...

Wchodzimy do maszyny. Jasio idzie próbować silniki. Tu dopiero zauważył, że zapomniał gdzieś haubę. Wystaliśmy więc mechanika na rowerze, a ten, po długich poszukiwaniach przywoził — ale cudzą. Strasznie duża. Szkoda jednak czasu — poleci w tej.

Wszystko to zaczyna się jakoś „dziwnie układać”... W maszynie

jest cicho, nikt nie żartuje... Poważnie, jak w kościele.

VI.

Każdy, kto latał na wojnę wie, że im bliżej końca kolejki, tym częściej wkrada się w duszę — lęk.

Jest to rzecz zupełnie zrozumiała. Gdy było się już kilkanaście razy nad terenem nieprzyjaciela, gdy zna się już mnóstwo możliwości „dostania po krzyżach”, miejsc początkowej brawury i pewności siebie zastępuje powaga, szalona ostrożność, a czasem po prostu — lęk. Natura ludzka, stworzona do chodzenia po ziemi a nie do latania, i to właśnie tam, gdzie tyś się głów, rąk i maszyn pracuje, by w lataniu przeszkodzić, by ściągnąć śmiałka na ziemię — zaczyna się buntować.

Szanse szczęśliwego skończenia operacji maleją potwornie z każdym lotem. Trzeba więc nerwy dobrze złapać za pysk. Z całej siły. Nie dać im brykać. A jak są silniejsze i ponoszą, nie okazać tego nikomu z załogi, zdławić w sobie, choćby kosztem kroplistego potu, zaciskania szczęk i rąk, upływu łez, a czasem — krwi...

Nikt z załogi nie ma prawa wiedzieć, że nie wytrzymujesz, że cię roznosi. Wtedy bowiem, choćbyś był najlepszym kompanem na ziemi, powiedzą ci, byś z załogi odszedł. A to jest najboleśniejsze, co może cię w życiu spotkać. Trzeba więc nerwy trzymać za pysk!

VII.

Startujemy...

„J-tka” toczy się ciężko, jakby wcale nie zamierzała oderwać się od ziemi. Przy samym końcu lotniska podskoczyła, przeszła ponad wierzchołkami drzew, znów solidnie „przepadła” i wreszcie zdecydowała się drapać w powietrze woli, ciężko, od niechcenia...

Był to niewątpliwie najcięższy start w jej bojowym życiu. A może po prostu udzielił się jej następny załogi? By więc go nie mącić, postanowiła startować poważnie, niż zwykle. Grunt, że się oderwała i że mamy już na zegarach nakazaną wysokość przelotu — 2.000 stóp.

Mijamy znane skrzyżowania dróg, później duży węzeł kolejowy; jeszcze godzina lotu i wyjdziemy nad Kanał.

VIII.

Nad Kanałem, jak zwykle o tej porze — oddechy fal unoszą się w postaci srebrnej mgiełki, która przykrywa toń wody zasłoną zadumy i tajemniczości.

Z Kanałem wiąże się bolesne wspomnienia. Oto wielu kolegów, których brak odczuliśmy bardzo w naszych dywizjonach, tu właśnie złożyło swe ciała i szczątki maszyn. Nikt nie zdola opisać, ilu dramatycznie rozpaczliwej walki o życie Kanał ten przyglądał się i ile drama-

tów zamknął w sobie na zawsze...

Nigdy, przelatując nad nim, nie myślałem o tym. Dziś mam uczucie, jakbym zęgnął, a równocześnie wital się z ich smutnym losem...

— „Za 10 minut brzeg nieprzyjacielski. Uważać na „flackships”y”.

Ledwie Kazio zdążył to powiedzieć, a z otchłani mgły wystrzeliły różańce kolorowych pocisków, z trzech stron naraz.

Silny unik w lewo — seria tuż przy kadłubie; unik w prawo — wybuchy tuż przy ogonie.

Witek z tylnej wieżyczki odpowiada seriami czterech sprzężonych karabinów — w maszynie zapach prochu i cisza.

„Halifax” tańczy na wszystkie strony, jakby drwił sobie z tych świecidełek, które pragną uciepić się jego cielską. Jeszcze kilka pas — i zadarłszy ogon do góry, dał susa na brzeg i pomknął kosakiem. Zadowolony z siebie, przeskakiwał nad krzakami, uderzając do rytmu warkotem czterech silników. Za dwie godziny będziemy nad celem.

Oddychamy spokojem ziemi, zapachem sierpniowego powietrza. Z chat, rozrzuconych na naszej trasie, ludzie, poznawszy aliancką maszynę, nadają latarkami „V”. Rzeki i drogi, lasy i pola, wszystko to zdaje się przyjaźnie do nas uśmiechać odbłaskiem księżycowego światła; stara się ułatwić pracę nawigacyjną, układając się zgodnie z mapą, pod brzuchem maszyny.

X.

— „Jasiu! Zmniejsz obroty lewego zewnętrznego — podskoczyła temperatura”.

— „O.K.”

— „Za pół godziny będziemy nad celem”.

Pozostałe trzy silniki sygnalizują wskazówkami zegarów, że im gorąco, że rozgrzały się bardzo.

— „Coś musiało nawalić”.

— „Może przestrzelili chłodzenie?”

— „Za 15 minut będziemy nad celem”.

Jest placówka. Zrzuty muszą być dokonane bardzo starannie, muszą spaść na punkt.

Pierwszy nalot nie udaje się. Robimy następny, lecz okazuje się, że nie można zamknąć drzwi bombowych.

— „Przewód hydrauliczny gdzieś przestrzelony...”

— „Rób szybko nalot. Zrzucimy i musimy się śpieszyć, żeby przed świtem zwać nad Kanał”.

Drugi nalot, spadochroniki z ładunkiem kołyszają się, dotykają ziemi — zadanie wykonane.

Mamy na zegarach około 900 stóp wysokości. Temperatura pozostałych trzech silników gwałtownie wzrasta. Drzwi bombowe otwarte i klapy opuszczone do maksimum, stawiają szalony opór. Maszyna wciąż traci wysokość.

— „Nie dociągniemy do Anglii”.

— „Przygotować się do skoku...”

Postaram się wdrapać, ile się da...”

Nakładamy spadochrony. Moje szelki są potwornie duże. Z wściekłością pomyślałem o tym, który mi „wykrakał” skok. Ustalamy kolejność opuszczania maszyny.

— „Niestety, maszyna jak kamień. Musimy lądować. Widzę tu polankę, spróbujemy na niej...”

Jestem pewien, że myśli wszystkich nas pobiegły w tej chwili do kabiny pilota, który przecie jutro miał jechać do dziecka... Zrozumieliśmy, co znaczy przymusowe siadanie na czteromotorowej maszynie w nocy...

... Jasiowi nie ma prawa się nie stać. Choćby on jeden musiał wyjść cało...

Ułożyliśmy się w kadłubie na podłodze, spadochrony pod głową — czekamy. Są to potworne chwile, w czasie których przesuwają się przed oczami film całego życia, serce ścisną żal, a równocześnie jakby rezygnacja. Usta, które zwykle w ciężkich sytuacjach szeptały modlitwy, by zabić jęk, teraz skostniałe drżą, pęcznią, palą...

— „Uwaga! Siadamy”.

Przymyka gaz. Słychać świst ciężego powietrza. Zaparty oddech. Serce, wszystkie wnętrzości, dochodzą aż do gardła, dławia... Potworne czekanie zderzenia z ziemią, która — Bóg raczy wiedzieć — czy nie wystrzeli w ostatniej chwili pniami drzew, lub linią wysokiego napięcia, by momentalnie oświetlić ciemność nocy palącą się wraz z załogą maszyną...

Wreszcie silne zderzenie, gasną światła — w maszynie błyski detektorów w sekretnych aparatach pokładowych i dym. Kłęby dymu wciskają się w płuca. Palimy się żywcem, brak oddechu...

... Co z Jasiem? Przecież on jest sam jeden z przodu. Oszklony nos „Halifaksa” roztrzaskał się... Co z Jankiem?...

Maszyna toczy się po ziemi, podskakuje, ryje...

Wylazimy górnym otworem na zewnątrz. Samolot wciąż jeszcze sunie po ziemi...

— „Jasiu! Gdzie Janek?!” — słychać ze wszystkich stron wołania. Podbiegamy do kabiny pilota, by go wyciągnąć i oto... Janek najspokojniej wyskoczył na płat, otrząpiał ubranie. Twarz, jak i my wszyscy, miał kompletnie czarną. Kurz, który wtargnął silnym strumieniem przez rozbitą nos, działała na podnieconą wyobraźnię złudzeniem dymu, więc znaczy: palenia się, pożaru, przemienił nas w istotnych murzynów.

Przed rozbitym nosem „Halifaksa” stała ściana drzew. Poczuła maszyna wiedziała, że musi zatrzymać się przed nimi. Choć widziała, że jej los jest i tak przesądzony, wierna była ludziom, co tyle z nią przeszli chwil pięknych i ciężkich. Nie mogła sprawić im zawodu.

Toteż ze smutkiem wielkim podpaliliśmy „J-tkę”, a ona, płonąć spokojnie i z godnością, jakby przepraszała nas, a szczególnie Jasia, że nie dociągnęła do bazy, że zostawia swoją załogę na obcej ziemi, na niepewny los...

MIECZYSLAW PAWLIKOWSKI



Polska poezja wojenna

KONFEDERACJA BARSKA 1768-72

PIEŚŃ

KONFEDERACKA

Nie wiem, co się znaczy,
Że los tak dziwaczy,
Przypadkami tamując zapędy.
Mogę rzec bez chluby:
Rzuciłem dom luby:
nie wiem, do niego trafić którejdy.
W biedzie, w nędzy,
Bez pieniędzy,
Bez pieniędzy
W biedzie, nędzy.
Nieszczęśliwe czasy,
Zalegające pasy,
Okropność strachu ściga mnie
wszędę!

Serce mi truchleje,
Tracąc nadzieję.
Wszecz i wgląd mierząc wielkość
Dunaju.
Przy wojennej wrzawie
Stoi na przeprawie
Moskwa w wołoskim rozsiana
kraju.

Ponadbrzeże
Turczyn strzeże,
Turczyn strzeże
Ponadbrzeże.
Bić nieprzyjaciela,
Bać się przyjaciela —
O niestychany w świecie zwyczaj!
Chociaż w biednej dobie,
Wesół nucę sobie;
Wolność ratując, wpadam
w niewolę,

Dla której nabycia
Nie żałuję życia,
Szczując dobrowolną niedolę.
W chęciach żyzny
Dla ojczyzny,
Dla ojczyzny
W chęciach żyzny.
Przykrości słodnieją
Swobody nadzieja.
Młodość i męstwo dają mi pole.
Doświadczając cnoty
Przykrymi obroty,
Przypadków ostrość śląc na
przemiany,

Boże, zmocnij siły,
Bo się nadwątliły,
Który wygraną dajesz wytrwałą.
Odejm kłiwosć,
Daj cierpliwość,
Daj cierpliwość,
Odejm kłiwosć.
Mężowie przystojni,
W ufność wiarę zbrojni,
Umacniajcie umysł
nieprzelamany!

Żyć przez śmierć i rany
Narodzie kochany!
Dając w ofierze krew mą i życie,
A chęci gotowe
Na azardy nowe
Jeśli wynijdę, znajdziesz sownie.
Za ratunek
Przyjm fraszunek,
Przyjm fraszunek
Za ratunek.
Wszak będąc w areszcie,
Więcej nie mam wreszcie,
Tylko sercem życzyć należycie.

MARSZ

KONFEDERACJI

BARSKIEJ

Marsz Polacy, marsz do broni,
Gdy was Moskwa zewsząd goni;
Stanąć mężnie przy Bellonie;
Nie dajcie polskiej Koronie
Wpadać w ohydę.

Odpasź że sądak u boku
Kupidyna, cny Polaku;
Niech was Wenera nie rani,
Mars, Mars niechaj was hetmani
Przy swej wolności.

Stanieć mężnie i w odwadze
Przy królewskiej swej powadze,
Stanieć w tropie w dobrej minie,
Ufajcie w Nepomucynie,
Własnym patronie.

Niech was wątpliwość nie trwoży,
Lub się zła fortuna sroży;
Przy komendzie Krasieńskiego
W mocy Michała świętego
Plac odbierzecie.

Wstępujcie w swych przodków ślady,
Nie słuchajcie żonek rady;
Więcej się mówić nie godzi,
Tylko że się nie urodzi
Druha Judyta.

Holoferesa namioty,
Bohaterskie wielkie cnoty,
Nie prezenta, nie zalety,
Chociaż słabej płci kobiety
Nie zwyciężyły.

Repinowe zaś obroty,
Wszystkie w Polsce złe niecnoty
Przez ugody i przez złoto,
Nie mieciej mi za złe o to,
W złe obróciły.

Marsz Polacy, marsz Polacy,
Boście wszyscy jedynacy:
Stawcie życie i dostatki,
Broncie Polski, dobrej matki,
I swej wolności.

KAZIMIERZ PUŁASKI

Ponad Warty kretym brzegiem
Stąpa szereg za szeregiem,
Trzystu jeźdźców w porządnym
orszaku;

A przed nimi przodem jedzie,
Pewno hetman co ich wiezie,
Młody wojak na białym rumaku —

Modre oczy, kraśne lica,
Pomyślałbyś, że dziewica,
Gdyby nie wąż co z wargi mu
tryska;

Ubiór na nim jasnolity,
Złotem tkany, srebrem szyty,
Jak król jaki, od haftów
polyska —

Lecz choć wiekiem młodociany,
Choć wytwornie tak ubrany,
Dzielny wódz to i rębacz nie lada!
Przy ataku pierwszy w rocie —
A ostatni przy odwrocie —
Tak głos o nim powszechny
powiada!

Ze starszszyny i z żołnierzy
Każdy ufnie jemu wierzy,
Wszyscy młodym swym wodzem
się szczygą;



Kazimierz Pułaski

Tego piersią swą zastonił —
Tego z więzów już obronił —
Tych od śmierci przegroził
szablą!

Zna go Litwa, Ukraina,
Kraków kocha go jak syna,
Jako brata czi lud go warszawski,
To bohater barskich szyków,
Ajax polskich wojowników,
Konfederat, Kazimierz Pułaski!

On dziś jeden z Lachów rodu
Powstał bronić praw narodu,
Bo srom wielki na Piastów
ziemicy;

Król Moskalom zaprzędany,
A czerń dworska, możne pany,
Zebrzą łaski i rubłów carcy!

W nim dziś jednym tylko żyje
Duch naddziadów — serce bije
Silne męstwem i wiarą gorące;
I gdy zbierze trzysta koni,
To już myśli, że przegoni
Het za Wołgę, najjeźdźców tysiące!

Pan Kazimierz, to nie lala!
Trzeci rok już — na Moskała
Dobyt miecz i tnie sztuką
krzyżową,

Nigdy z królami nie będziem w aliansach,
Nigdy przed mocą nie ugniemy szyi;
Bo u Chrystusa my na ordynansach
Słudzy Maryji!

Więc choć się speka świat i zadrży słońce,
Chociaż się chmury i morza nasrożą —
Choćby na smokach wojska latające
Nas nie zatrwożą.

Bóg naszych ojców i dziś jest nad nami!
Więc nie dopuści upaść w żadnej klesce.
Wszak poki On był z naszymi ojcami,
Byli zwycięzcy!

Więc nie wpadniemy w żadną wilczą jamę,
Nie ukleknijemy przed mocarzą władzą;
Wiedząc, że nawet grobowce nas same
Bogu oddadzą.

Więc nie wpadniemy w żadną wilczą jamę,
Nie ukleknijemy przed mocarzą władzą;
Wiedząc, że nawet grobowce nas same
Bogu oddadzą.

* Z "Księdza Marka".

Od niniejszego numeru, będziemy od czasu do czasu kolumnę "Polski Walczącej" poświęcać polskiej poezji wojennej. Rozpoczynamy od poezji konfederacji barskiej. Był to związek zbrojny szlachty polskiej, który powstał w r. 1768 w Barze na Podolu, jako reakcja na gwałty rosyjskie. Konfederacja barska postawiła sobie za cel obronę niepodległości i swobód szlacheckich. Nie towarzyszyło jej powodzenie wojenne: wyparciu z Podola, konfederaci walczyli wprawdzie dalej na Litwie i w Wielkopolsce, ale odnieśli jedynie zwycięstwa lokalne. Po upadku Krakowa, Częstochowy i Lanckorony w r. 1772, konfederacja wygasła. Przyszli pierwszy rozbiór. Dajemy tutaj wiersze Konstantego Gaszyńskiego /1809 — 1866/ "Kazimierz Pułaski" /"Poezje", Lipsk 1861/ i Juliusza Słowackiego /1809 — 1849/ "Pieśń konfederatów" /"Dzieła", Warszawa 1935/ oraz szereg utworów anonimowych, z nieznacznymi skrótami /według "Poezji barskiej" w opracowaniu Kazimierza Kolbuszewskiego, Kraków 1928/. Ilustracje, zaczerpnięte z monografii Władysława Konopczyńskiego "Kazimierz Pułaski" /Kraków 1931/ i z t.II. dzieła zbiorowego "Polska, jej dzieje i kultura" /Warszawa 1937/, ukazują przewodców konfederacji.

Dzisiaj bije co znachodzi,
Jutro zbity, z placu schodzi —
I pojutrze wojuje na nowo!

Okopał się w Częstochowie,
Sławnym miejscu — gdzie ojcowie
Ze Szwedami staczali już bitwy;
Gdzie jaśnieje w cuda wielki
Obraz Bożej Rodzicielki,
Opiekunki Korony i Litwy!



Kazimierz Pułaski

Wróg ich obległ — wojsko nasze
Nie da sobie dmuchać w kaszę;
Boć to przecie nie tatarska horda;
Wódz, towarzyszy szeregowy,
Każden z nich szlachcic herbowy,
Wzrósł na koniu i przywykł do
korda!

Pan Pułaski nie folguje,
Co dzień z wałów występuje,
Co dzień Drowicz drży z strachu
i twogi;



Józef Pułaski, ojciec Kazimierza

Nocą dotarł do Sieradza
I dziś wieczór przyprowadza
Zapas prochu dla swojej załogi!

Mrok już zapadł ponad błonie,
Głuchym stępem krocza konie,
Jeźdźcom krzyki i gwary
wzbronione —

Nic nie słychać w nocnej ciszy,
Chyba który z towarzyszy
Szepcze sobie: "Pod twoją obronę".

Chyba z cicha dla sąsiada,
Dzierżanowski rozpowiada,
Kraszając mowę niejednym
żarcikiem —

KONSTANTY GASZYŃSKI

PIEŚŃ KONFEDERATÓW*

Ze skowronkami wstaliśmy do pracy
I spać pójdziemy o wieczornej zorzy,
Ale w grobowcach my jeszcze żołdacy
I hufiec Boży.

Bo kto zaufał Chrystusowi Panu
I szedł na święte kraju werbowanie,
Ten, de profundis, z ciemnego kurhanu
Na trąbę wstanie.

Bóg jest ucieczką i obroną naszą!
Póki on z nami, całe piekło pełną!
Ani ogniste smoki nas ustraszą,
Ani ulekną.

Nie złamie nas głód, ni żaden fraszunek,
Ani zholdują żadne świata holdy;
Bo na Chrystusa my poszli werbunek,
Na jego żołdy.

JULIUSZ SŁOWACKI

Jakie zwiadał okolice
W Europie — Ameryce —
Gdzie go dzicy obrali kacykiem!

A gdy przyszli ku smugowi,
Gdzie żołnierze Drowiczowi
Przy ogniskach obozu gwarzyli —
Orszak stanął zatrzymany
I rycerze na znak dany
Augustówek z jaszczurów dobyli!

Tęga broń to szable owe —
Jednym cięciem zmiotą głowę,
Jak sierp żniwa pszenicę lub żyto;
Krzywa klinga — na niej spiżem
Krzyż znaczone — a pod krzyżem:
"Jezus, Maria, Józef" wyrzyto. —

"Za mną! pał! i siecz z kolei! —
Vivat Sancta Mater Dei!" —
Krzyknął wódz i głos poparł
skinieniem;
Cały zastęp pędzi cwałem,
Jednym tylko zda się ciałem,
A Pułaski mu głową, ramieniem!

Rejwach wielki u Moskali,
Szybko za broń się porwali:
Drowicz wola — w czworobok
się zwarli —



Biskup Adam Krasieński

Lecz już nasi szlachta, braty,
Zagwoździli trzy armaty
I przez obóz się z płonem
przedarli!

Jako potok, co z gór pędzi,
Rwie kamienie, drzew nie szczędzi,
A huk dziki roznosi na niwę —
Tak za ludzi tych potokiem
Wszędzie trupy widzisz okiem,
Uchem słyszysz jęczenie
strasznego!

Któż opiszę, któż opowie
Jaka radość w Częstochowie,
Że wódz zdrowo z wyieczki
powrócił;

Uderzono w wszystkie dzwony,
Lud się modlił rozczulony,
A ksiądz Marek "Te Deum"
zanucił. —

A dzień później — gdy o świecie
Drowicz z wojskiem umknął skrycie,
Pan Pułaski w cud wierzyć
poczyna —

Upadł krzyżem i powtarza
U stóp Marii ołtarza:
"Salvavisti nos, coeli Regina!"

KONSTANTY GASZYŃSKI

PIOSNKA

O DREWICZU

Jedzie Drowicz, jedzie,
Trzysta koni wiezie;
Oj, poczekaj, panie Drowicz,
Nie twoje to będzie.

Od bram Częstochowy
Zabrzmiaty podkowy:
Ho! Ho! teraz, panie Drowicz,
Nie uniesiesz głowy.

To Kazimierz Pułaski,
Konfederat barski;
Ty wiesz dobrze, panie Drowicz,
Że to rębacz dziarski.

Drowicza ujęto,
W kajdany opięto;
Hej, panowie, bracia szlachta,
To nam dzisiaj święto.

Drowiczowe ręce,
Drowiczowe ręce
Już nie będą wywijają
Szablą po wojence.

Drowiczowe nogi
Drowiczowe nogi
Już nie będą zachodziły
Pułaskiemu drogi.

Drowiczowe oczy,
Drowiczowe oczy
Już nie będą poglądować,
Skąd Zareba kroczy.

Drowiczowe uszy,
Drowiczowe uszy
Już nie będą podstuchiwać,
Skąd pan Sawa ruszy.

Drowiczowe zęby,
Drowiczowe zęby
Już nie będą zajądły
Kurczateczek wszędy.

Drowiczowa głowa,
Drowiczowa głowa
Już nie będzie wysypiała
Na poduszecę zdrowa.

Ha! srogi Drowiczu,
Ha! srogi Drowiczu,
Przyszła na cie czarna kreska,
Moskiewski panicz.

Obcinałeś ręce,
Obcinałeś uszy
Naszym panom braciom szlachcie,
Dziś myśl o swej duszy.

Chłopce, podaj skrzypce,
Podaj i oboje,
Niech ja zagram senatorom.
Patrząc na śmierć twoję.

PIEŚŃ

KONFEDERACJI

BARSKIEJ

Stawam na placu z Boga ordynansu,
Rangę porzucam dla nieba wakansu.
Dla wolności gnie, wiarę swej nie
minę.

Ten jest mój azard.

Krzyż mi jest tarczą, a zbawienie
tupem.
W marszu zostaję; choć upadnę
trupem,

Nie zważam, bo w boju — dla
duszy pokoju
Szukam w Ojczyźnie.

Krew z ran wylana dla mego
zbawienia
Utwierdza żądze, ukaja pragnienia,
Jako katolika — wskrós serce
przenika,

Prawego w wierze.

Śmierć Zbawcy stoi za pobudki hasto,
Aby wzniesienie złych czynności
zgąsto,
Wolności przywary, gwałty świętej
wiarę
Zniesione były.

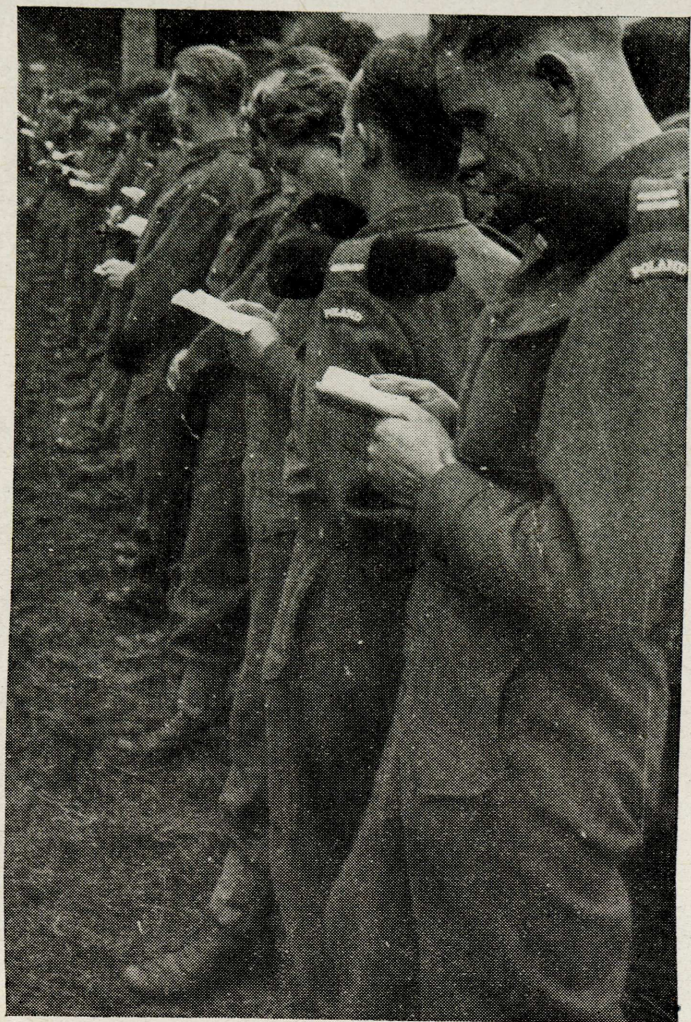
Nie obawiam się przeciwników
zdrady;
Wiem, że mi dodasz swej zbawiennej
rady,

W zamysłach obrotu, dla spraw
swych powrotu,
Jak rekrutowi.

Boć nie nowina Maryji puklerzem
Zastawiać Polskę, wojować,
z rycerzem
Przybywać w osobie, sukurs dawać
Tobie,

Mila Ojczyzno!
Niech nas nie ślepią światowe
ponęty:
Dla Boga brońmy wiarę Jego
świętej.
A za naszą pracą będzie wszystką
placą
Żyć z Bogiem w niebie.

Spowiedź księdza z Normandii



SPIEW WŚRÓD NOCY

Słońce już zagrzało się za szkockie pagórki, miedno ostatnimi promieniami. Obóz zwolna układał się do snu. Na środku opustoszałego placu alarmowego, pozostał nagi maszt, na którym jeszcze przed chwilą łopotała biało-czerwona chorągiew. Już od godziny ustał stukot butów, brzęczenie menażek oraz śpiew, który dzisiaj rozrywa pierś — melodią wolnych ludzi. Z zegarkiem w ręku z otaczających zarośli wypelzła na spotkanie nocy — mgła. Już podkłada się w stronę baraków, gdzie dogasają światła...

Cisza dokoła. Lecz co to? ... Z oddali dolatuje melodia organów? ... Płyną tony coraz potężniejsze, coraz mocniejsze. Słychać i śpiew.

— O tej porze? — pada pytanie. — Czyżby to było echo z kaplicy?

Kierujemy się w stronę przepołowionej, olbrzymiej "beczki". Masyw pofalowanej blachy już wyłania się w wieczornej mgle. To kaplica obozowa.

Otwieramy ciężkie wrota. We wnętrzu płonie — świeca. Oświetla twarze żołnierzy. Jeden z nich gra na harmonii, drugi nachylony nad głową obozowego organisty — śpiewa. W uszy nasze wiera się melodia z przed lat. Dzisiaj słowa tej pieśni nabierają pełnej wymowy. "Z dymem pożarów"...

— To próba przed jutrzejszym nabożeństwem — szepnął ktoś stojący opodal.

Dreszcz przeszedł po ciele. Wbiłem oczy w płomień świecy. Pieśń potężniała — głos rozpaczliwy wydierał się coraz silniej z piersi żołnierzy. Skończyli... W blasku świecy dostrzegłem sprzedawcę "Polski Walczacej" — z zawodu organistę... Obok młodego chłopca.

— A ten drugi? — cichym głosem zwróciłem się do sąsiada.

— Też z Normandii.

— Jak to też? Czy kolega z Normandii?

— Tak!

Spojrzałem na młodą twarz. Był w *battle-dressie*. Na liliowych patkach połyskiwał srebrny krzyż.

— Więć pan jest księdzem?

— Tak.

— Bez stopnia?

— Jeszcze nie jestem zweryfikowany. Jestem na terenie Anglii dopiero miesiąc. Pełnię funkcję kapelana. Byłem jeńcem niemieckim...

Po chwili zamknęły się drzwi od kaplicy. Spóźniony chór kościelny popędził w stronę baraków. Pozostała tylko ociekająca łzami wosku świeca i mój rozmówca z Normandii...

PIERWSZE LATA POD NIEMIECKĄ OKUPACJĄ

... Urodziłem się na Śląsku w roku 1918. Tam rozpocząłem

szkoły, teologię studiowałem na Uniwersytecie Jagiellońskim w Krakowie. Wybuch wojny zastał mnie na Śląsku, w domu rodziców. Uciekałem na wschód. W tym wyłania się nowa bariera. Wracam.

W tydzień później odbywa się pierwsze przesłuchanie... — "Gdzie się urodziłeś?" — krzyknął Niemiec. — "Na Śląsku". — "Więc jesteś Niemcem!" — "Nie, Polakiem". Oficer uderzył pięścią w stół. Puszczono mnie do domu.

Po pięciu tygodniach nowa oblawa. O godzinie trzeciej nad ranem zrywają mnie z łóżka i pędzą do Bielska. Staje przed komisją poborową. — "Zawód?" — zapytał lekarz niemiecki. — "Jestem teologiem". Lekarz pokiwał głową, chwilę zastanawiał się. — "Czy jesteście chorzy?" — "Tak — wada serca". — "Zwolnić" — rzucił pod nosem Niemiec — prawdopodobnie katolik.

Wróciłem do rodziców. Nie wiem co robić. Nie wiem czy zgłaszać się do pracy, czy ukrywać się. Zgłaszam się na probostwo. Do staje wikariat.

PRYMUSOWY POBÓR

... Mija rok, drugi i trzeci. Zbliża się czerwiec 1943 roku. Duch Niemców zalamuje się w miarę postępów alianckich. Nagle pewnego dnia otrzymuję wezwanie do poboru. Tłumacze, że jestem duchownym. — "W armii niemieckiej nie ma duchownych. Wszyscy muszą służyć, ksiądz czy biskup" — wrzeszczy oficer niemiecki. Rozbieram się jak inni. Stoję zażenowany przed komisją. Badają, pukają. — "Kategoria GFH" /odpowiada naszej kategorii C./ — rzuca przewodniczący komisji. Zdolny do służby garnizonowej.

Następnego dnia otrzymuję mundur niemiecki. Zaciskam pięści, lecz wyjścia już nie ma. Pędzą mnie na ćwiczenia. Strzelam, maszeruję, salutuję. Jak mi z tym było ciężko, trudno powiedzieć...

Wkrótce otrzymuję poprawkę "zdrowia", z kategorii "C" dostaję "A" — z bronią w ręku. Przysięgają — na kurs sanitarny. Już orientuję się, że Niemcom brak jest ludzi. Mam znosić z placu boju rannych. Stąd wysnuwam wniosek, że wkrótce pójdę na front.

NA FRONT FRANCUSKI

Przecucie moje sprawdziło się. Z końcem kwietnia 1944 roku wiozą nas do Francji. Z okien bydlęcego wagonu widzę zniszczenia, gruzy i zgłiszczą. Przeżywam pierwsze bombardowanie. W miarę jak posuwamy się w kierunku granic Francji, duch w naszym wagonie tężeje. Naprawdę grubiański szef stara się nas uspokoić. Grozi nawet bronią. Niemiec nie chce dopuścić, by bractwo śpiewało polskie piosenki. Lecz nas jest więcej. Sami Ślązacy. Butny Szwab po kilku dniach — zaniemógł... Wi-

docznie obraz zniszczeń zbił go z tropu.

Krażymy po Francji z kąta w kąt. Dokądkolwiek zajdziemy, przerwana linia i znowu wracamy, okrażamy. Z Goerlitz do Libourne podróż nasza trwała tylko dwa tygodnie. Stacje były zabite żołdactwem. Niemcy grabili wino, i upijali się do nieprzytomności.

Wreszcie dojechaliśmy do Libourne. Po kilku dniach przetrzucili nas w stronę Paryża. W drodze padła paniczna wieść. Alianci lądują!

Zawrócili nas. Z bijącym sercem słuchaliśmy radia. Modliliśmy się, by tylko Alianci przetrwali osiem godzin, tych osiem godzin Hitlera! Po dwóch dniach już wiedzieliśmy, że Szwabi nie wyrzucą Anglików. Naszą dywizję pospiesznie skierowano na front. Wieźli nas tylko nocą, bo w dzień nie można było nawet wystawić palca. Przez cały dzień leżało się tylko po rowach. Na specjalny rozkaz Hitlera, naszą dywizję, która była ściągana z Węgier, rzucono na front amerykański. Byłem wówczas z kompanią sanitarną.

W POBLIŻU LINII FRONTOWEJ

Pewnego dnia jeden z sanitariuszy został zabity. Na jego miejsce wyznaczono mnie do pierwszej linii. Rozkaz przyjąłem z zadowoleniem. Wiedziałem, że pod flagą Czerwonego Krzyża jest bezpiecznie, bo Amerykanie szanują te znaki. Po drugie, na linii frontu łatwiej o okazję ucieczki...

Wtem przydzielają mnie do kompanii bojowej. Miałem wyruszyć na front o świcie. Eee, jeszcze mnie nie znacie — powiedziałem sobie w duchu. W chaosie różnych myśli i pomysłów, przypominałem sobie słowa jednego z lekarzy śląskich. Była to moja ostatnia deska ratunku. Chwyciłem podręczną strzykawkę i wstrzyknąłem sobie do nogi pewną dawkę... Noga momentalnie nabrzmiała, gorączka skoczyła do 40 stopni i znalazłem się na izbie chorych. Szwaby medytowały, kiwały głowami, lecz nie mogli dociec przyczyny zakażenia.

Na drugi dzień wróciła moja kompania. Ze 120 ludzi powróciło 12. Rzucono drugą kompanię. I ci też wrócili... tylko było ich już 8.

Gorączka już mi spadała, noga skłesała — i tu nagle spada na mnie nowa bomba. Szef rzucił: — "Ten się nudzi, trzeba go nauczyć strzelać z karabinu maszynowego". Po dwóch dniach miałem wyruszyć na front. Nie wiedziałem tylko czy w roli sanitariusza, czy jako strzelca przy karabinie maszynowym.

UCIECZKA

Postanowiłem wszystko postawić na ostatnią kartę. Byłem sześć kilometrów z linią frontu. Zdecydowałem się na ucieczkę. W pewnej chwili, kiedy zastanawiałem się nad sposobem wyrwania, zawołał mnie szef: — "Pobiegniecie do kompanii sanitarnej..."

W jednej chwili wyczułem, że Opatrzność czuwa nade mną. Biegiem ruszyłem do punktu odległego o cztery kilometry. Po drodze zatrzymywali mnie Niemcy, którym krzyczałem, że pędzę z rozkazem!... Oglądałem się tylko gdzie się ukryć, do którego wpaść domu. Wybrałem pierwszy z brzegu.

W domu zastałem przestraszoną rodzinę Francuzów. Staruszka coś mamrotała, inni stali przelazeni. Wyszptałem słowo: *Polonais!* Twarze rozpoznały się. Starałem się im wytłumaczyć, że jestem księdzem. Gestykulowałem palca-

PEN-Club Polski

urządza

w piątek dn. 9 lutego o godz. 6,15 wiecz. w Ognisku Polskim, 45, Belgrave Square

Wieczór autorski

BEATY OBERTYŃSKIEJ

Wiersze dawne i nowe odczyta autorka

poemat: "O Braciach Mroźnych" odczyta

TOLA KORIAN

słowo wstępne

wyłosi

TYMON TERLECKI

Dochód na Fundusz Pomocy Pisarzom w Kraju

mi. Zrozumieli mnie. W chwilę później zjawiał się jakiś młody Francuz. Był to kleryk. Rozmowa potoczyła się już łatwiej. Wyjaśniłem mu, że jestem Polakiem, księdzem, chcę uciekać i błagam go o cywilne ubranie.

— Ładnie, pięknie, lecz jak ksiądz rozmawiał z tym klerikiem? — zadałem pytanie.

— Mówiłem do niego po łacinie...

EWAKUACJA I OCZEKIWANIE WOJSK ALIANKICH

W godzinę później miałem już ubranie. Zrzuciłem lachy niemieckie, spaliłem papiery i poczułem się znowu człowiekiem. Lecz nie długo bawiłem w tej złotej klatce. Niemcy nakazali ewakuację. Siedząc na wozie, to idąc obok konia, maszerowałem z francuskimi uchodźcami. Balem się tylko, żeby ktoś do mnie nie podszedł i nie zagadnął po francusku.

Po kilku dniach włóczęgi i koczowania, wywnioskowałem, że pierścień wojsk alianckich zacisnął się. Nie było już sensu dalej uciekać. Postanowiłem nie ruszać się z miejsca. Przekonałem też Francuzów. Zostaliśmy.

Niemcy jak opętani pędzili w jedną, to w drugą stronę. Ostatni byli z S.S. Przed naszym domem zatrzymał się jeszcze kapitan S.S. Wlaź do mieszkania, spojrzał po kątach i szorstko rzucił: — "Czy nie ma tu u was schowanych żołnierzy?" — "Nie" — odpowiedział kleryk, robiąc minę świętoszka.

Siedziałem wtedy za drzwiami. Serce mi mało nie rozbiło klatki piersiowej.

Zapanował teraz denerwujący spokój. Godziny wlokły się jak muchy w mazi. Naprawdę wyglądał Amerykanów. Dzień przeszedł na niczym. Jeny z oddali dołatywał huk dział. Dopiero 27 lipca o godzinie 5 po południu ktoś zawołał: — "Na rozstaju dróg zatrzymały się cztery samochody amerykańskie". Nie biegiem do nich, lecz obserwowałem manewr z okna. Trochę postali i rozdzielili się. Dwa skręciły w lewo, dwa w prawo. I znowu nastała cisza.

WYZWOLENIE

Dopiero następnego dnia nad ranem wtoczyły się czołgi. Później przejechała piechota. Moi Francuzi szaleli z radości, wynosili wino. Ja natomiast jak mysz na pudle siedziałem w domu... Wieczorem dopiero Francuzi rozkrochmalili się. Gdzieś spod ziemi wyciągnęli stare butelczyny wina i dawajże popijają. Pociągnąłem i ja... Dzieciarnia pierwsza zaintonowała "Marsyliankę". Starzy im wtórowali mając łzy w oczach. Ten dzień pozostanie mi na całe życie w pamięci — dzień radości i wyzwolenia.

Rano zaglądneli Amerykanie. Szukali broni i przebranych żołnierzy... Jeszcze nie chciałem się zdradzić. Postanowiłem przeczekać. Pragnąłem nawiązać kontakt z miejscowym proboszczem. Uczynny kleryk pobiegł na plebanie z pierwszą misją. Nim się zorientowałem, a tu droga ciągnie kleryka, proboszcza, kapłana amerykańskiego z opaską M.P. i kapłan wojskowy. Otworzyły się drzwi. Proboszcz po łacinie wyszeptał: — "*Laudetur Jesus Christus*". Odpowiedziałem: "*In secula seculorum Amen*" — chyłną głowę. Byłem niebawem zmieszany. Proboszcz zażądał legitymacji. Podałem mu swój dowód.

— Czy proboszcz rozmawiał po francusku?

— Nie, też po łacinie.

Po chwili proboszcz przedstawił mi kapłana amerykańskiego i dowódcę żandarmerii. Uściśnaliśmy sobie dłonie. Pierwsze słowa, które wykrztusiłem, były: — "Chcę wstąpić do armii polskiej". Amerykanin uśmiechnął się, poklepał mnie po ramieniu i rzekł: — "O.K.!"

W godzinę później byłem już pod opieką kapłana amerykańskiego. Zażądał tylko słowa honoru, że nie będę się oddawał. Pożegnałem prześlanych Francuzów, zabrałem rzeczy i znalazłem się "przy ołtarzu" Dowództwa. Następnie przeszedłem punkty zborne, jeden, drugi obóz i stanąłem na ziemi Wielkiej Brytanii.

KAPLAŃSTWO UCISKANE

Chociaż na dworze noc już rozciągnęła swój *black out*, chciałem wydusić wszystko od miłego "jeń-

ca". — Księżę kapłanie, którego dnia ksiądz odprawił pierwszą mszę na wyspie Wielkiej Brytanii?

— Pamiętam ten dzień. Był on dla mnie równie wielki, jak dzień, w którym odprawiłem pierwszą mszę po wyświęceniu kapłańskim. Było to w sobotę 12 sierpnia, po południu...

— Po południu?

— Tak, w czasie wojny możemy odprawić mszę nawet wieczorem. Na mszy tej byli Polacy, Czesi, Francuzi. Byli to chorzy.

— A kiedy ksiądz odprawił przedostatnią mszę?

— W tej chwili, tylko sięgnę po kalendarz. Już mam! 29 maja 1944 roku — wieczorem.

— Przecież ksiądz wtedy był w armii niemieckiej. Czy Niemcy zezwolili księdzu na odprawianie mszy?

— Nie! Ale proszę nie zapominać, że otrzymywałem przepustkę do miasta. Inni pędzili do kina, barów, ja natomiast biegiem do klasztoru sióstr w Libourne. Tam właśnie ukradkiem odprawiałem mszę świętą. Powiem panu jeszcze, że w tym kościółku odprawiałem majowe nabożeństwa. W Wielkiej tajemnicy wyznaczałem kolegom godziny. Tylko błagałem ich, żeby mnie nie wydali. W tym małym kościółku, co wieczór schodziło się 30 Ślązaków — Polaków. Śpiewaliśmy pieśni majowe i litanię do Matki Boskiej. Udzielałem też błogosławieństwa z wystawieniem Najświętszego Sakramentu. W nocy znowu byłem żołnierzem. Na kwatery nie dało się modlić. Żołnierze niemieccy sztychali z nas. Mój kolega — ksiądz ze Śląska, chciał praktykować obowiązki religijne. Odmawiał brewiarz, modlił się klęcząc, lecz spotykał się z kpinami i szyderstwami. Czasem nawet but padł w jego stronę. Ja natomiast, nie zwracając najmniejszej uwagi, szeptałem modlitwę, leżąc na przycz.

— Czy żołnierze zwracali się do księdza kapłana o pociechę duchową?

— O, bardzo często. Wówczas brałem kolegę na spacer i krocząc z nim pod rękę, spowiadałem go. Razu pewnego zwrócił się do mnie nawet Niemiec. Był to nauczyciel. Miał prawo nauczania religii w szkołach...

NAJSILNIEJSZE WRAŻENIE W W. BRYTANII I NAJBOLĘSNIEJSZE WSPOMNIENIE Z KRAJU

— Co księdzu najbardziej utkwilo w pamięci po wylądowaniu w Wielkiej Brytanii?

— Pierwszy oficer polski — jakiś major stojący w porcie. Na czapce miał polskiego orzełka i naszywkę "Poland". Nie mogłem się napałować... Wbiłem oczy i przez chwilę stałem jak oniemiały. Nie miałem tylko odwagi podejść, by zamienić parę słów. Coś dawało mi w krtani że wzruszenia.

— A teraz ostatnie pytanie. Proszę mi powiedzieć, która z najtragiczniejszych chwil w tej wojnie zrobiła na księdzu największe wrażenie?

— Było to jeszcze na Śląsku, przed wcieleniem do armii niemieckiej. Po mszy świętej, podeszła do mnie jakaś pani na czarno ubrana, prosiła o spowiedź. Osoby tej nie znałem w mojej parafii. Przypuszczałem, że jest przejeżdżną. Wyspowiadałem ją. A kiedy wychodziłem z kościoła, podszedł do niej i zapytał: — "Skąd pani pochodzi i dlaczego właśnie zawitała pani do tego kościoła?" Odpowiedź padła: — "Czekam na połączenie kolejowe. Jadę z Katowic do Oświęcimia. Wczoraj otrzymałam trzecie zawiadomienie... Najpierw zabito mi w Oświęcimiu najstarszego syna, później męża... Dzisiaj jadę po prochy ostatniego syna... Księżę, ja nie chcę bluźnić, lecz proszę mi odpowiedzieć na jedno pytanie: Dlaczego Bóg mnie tak karze?"...

* * *

Nie zadawałem już więcej pytań kapłanowi. Ksiądz również zamilkł, głęboko wzdychając, jakby po raz wtóry przeżywał tragedię Kraju. Już ciemno było, kiedy uściśnaliśmy sobie dłonie. Szkocka mgła na dobre panoszyła się wśród baraków, tuląc do snu małe, polskie miasteczko, gdzie w Szkocji...

ANTONI WASILEWSKI

Książki o wojsku i o wojnie

Autor spod Jasnej Gwiazdy

Nie umiem prawić komplementów kiepskim autorem, ale nie lubię pisać nieprzychylnych sprawozdań o ich książkach. Nie jestem zresztą krytykiem literackim, więc na szczęście tylko od czasu do czasu, ktoś się na mnie obraża za zbyt mało pochlebne zdanie o jego twórczości. Ale tym razem piszę o Bolesławie Pomianie i o jego książce „Ku najjaśniejszej z gwiazd”,^{*} więc całe pierwsze zdanie tego artykułu nie wchodzi w rachubę. Poza tym — oceniam książkę B. Pomiana przede wszystkim jako lotnik; szukam w niej nie tylko roboty literackiej i stylu, ale również tego, co tylko lotnik dać może, opowiadając o lataniu: prawdy. Prawdy opisu, prawdy opowiadania, prawdy przeżyć, doznań i uczuć.

Bolesław Pomian jest nawigatorem, i to nie byle jakim nawigatorem! Odbył loty bojowe w Polsce i w W. Brytanii, po czym był w dywizjonie do zadań specjalnych; mianowicie w dywizjonie, którego zadaniem jest robienie zdjęć fotograficznych każdego celu podlegającego później bombardowaniu. Po co takie zdjęcia są potrzebne? Żeby załogi bombowe mogły przestudiować je, zanim wyruszą na wyprawę; żeby w sztabach lotniczych wiedzieli, co bombardować; żeby nieprzyjacieli nie mogli wprowadzić w błąd lotników przez zręczne maskowanie fabryk, portów, kolei, czy lotnisk. Takie zdjęcia robi się nieraz daleko w głębi terytorium nieprzyjaciela; w głębi terytorium, broniomono najsilniej, najzacieklej zarówno przez artylerię z ziemi, jak przez myśliwców w powietrzu. Robi się je — zależnie od potrzeby — z wysokości bardzo dużej: 25—30.000 stóp, albo z bardzo małej: 300—1.000 stóp. Samolot rozpoznawczy, przystosowany do tego rodzaju pracy, jest czasem nieuzbrojony. Ale jeśli nawet ma w swoich wieżyczkach strzelców i karabiny maszynowe, to i tak

^{*} Bolesław Pomian: „Ku najjaśniejszej z gwiazd”. /Opowiadania lotnicze/. Str. 177. Wyd. Składnicy Księgarskiej w Edynburgu, 1944.

główną jego bronią jest szybkość. Osłony własnych myśliwców nie ma; załoga odbywa długie, niebezpieczne loty samotnie...

Nawigatora nie prowadzi radio, ani mapa. Czas, dewiacja, derywacja, zliczenie tych elementów, zgranie wysokości, kierunków wiatru, ciśnienia i innych czynników wpływających na trasę i szybkość lotu — oto jego zadanie. Wyjść prosto, nieomylnie na cel; trafić. W pewnych okolicznościach omyłkę popełnia się tylko raz: wskutek omyłki można z takiego lotu nie powrócić nigdy...

Pomian, jako nawigator, takiej pomyłki nie popełnił, i — chwała Bogu — lata dalej, obecnie już nie w dywizjonie rozpoznawczym, lecz jako nawigator transportów lotniczych, t.j. — jako „ferry”. Te loty, w których prowadzi konwoje samolotów dostarczających drogą powietrzną na wszystkie lotniska świata, mogą doprawdy przypisać o zawróć głowy: z Kanady, przez Grenlandię do Europy; ze Stanów Zjednoczonych przez Amerykę Południową, Atlantyk, przez całą Afrykę, Arabię, Persję — do Indii Brytyjskich; spod Kręgu Polarnego do Równika; ponad pustyniami, gdzie w promieniu kilkuset dni marszu nie ma kropli wody, i ponad dziewczymy puszcza, w których równie łatwo zginąć jak w pustyni. I tam pomyłkę można popełnić tylko raz... Zapewne dlatego właśnie na przewodników konwojów powietrznych wybiera się takich nawigatorów, jak Bolesław Pomian; takich, którzy nie popełniają omyłek.

Wydaje mi się, że Pomian również nie popełnił omyłki, pisząc swoje opowiadania, zawarte w książce „Ku najjaśniejszej z gwiazd”. Napisał je bowiem tak prosto i pięknie, jak tylko prawdziwy, o wielkim talencie pisarz uczynić to może, pisząc pierwszą książkę w życiu. Nie ma tam patosu słów; jest szczerzy, wspaniały patos zdarzeń prawdziwych, przeżytych, odczuty. W każdym zdaniu, w każdym opisie czuje się, że pisał je człowiek, który brał udział w akcji, który podlegał tym wzruszeniom, który walczył sam

i widział walkę swoich towarzyszy z załogą. Każde słowo tej porównawczej książki jest prawdą. Tak właśnie jest w powietrzu. Tak się myśli, tak się czuje, tak się działa; tak się do wszystkiego odbywa. Bez dodatków i „ozdobek”; bez „bujania”.

Każdy lotnik, czytając Pomiana, wie, że ten autor pisze prawdę. Ale każdy czytelnik, który sam nawet nigdy nie latał, również pozna od razu, że „Ku najjaśniejszej z gwiazd” to właśnie opowieść prawdziwa; prawdziwa nie tylko jeśli chodzi o fakty, o opisy, o fabułę; prawdziwa głęboko — powie-działbym — „uczuciowo prawdziwa”. Tak pisać o lataniu, o walce, o załodze, o mechanikach może tylko lotnik; lotnik, który ma umiar, talent literacki i rzetelność Pomiana.

Czyta się tę książkę, jakby się patrzyło na kolorowy film reportażowy, zrobiony według artystycznego scenariusza na bardzo wysokim poziomie. A kiedy czytelnik odwraca ostatnią stronę, doprawdy żał mu rozstawać się z autorem; żał, że to już strona ostatnia; że film nie jest dłuższy. Takie sceny, jak walka „Blenheima” z kilku

„Messerschmittami” nad morzem w opowiadaniu „Najjaśniejszy ścieżki Betelgeuse’a”, lub jak odnalezienie celu i wykonanie zdjęć „A.R. 843 overdue” należą do mistrzowskich. Słabiej wypadają uwagi autora na tematy ogólne, polityczne; ale tam gdzie Pomian pisze o locie, o załodze, o przycie-dzie — jest bardzo, bardzo dobry: jest u siebie; w swoim żywiole; widzi go swoimi własnymi oczyma, nie zaś przez pryzmat czyjegós zdania i czyichś poglądów.

Start tego Autora spod Jasnej Gwiazdy jest znakomity. Sądząc z opowiadań, które co jakiś czas ukazują się obecnie w „Polsce Walczącej” — dalszy lot też zapowiada się bardzo dobrze, i ośbicie przypuszczam, że Bolesław Pomian wkrótce zajmie w beletrystyce polskiej równie zaszczytne miejsce, jak to, które zajmuje wśród lotniczych nawigatorów polskich: będzie jednym z najlepszych.

Pod względem graficznym książka — jak na warunki wojenne — wydana jest starannie. Mam nadzieję, że nie zaszkodzi jej nawet obwoluta okładki, przypominająca emaliowaną na niebiesko miednicę, którą ktoś poobijał młotkiem.

O Polsce pod okupacją

Wiem, że „Polska Walcząca” nie drukuje sprawozdań i krytyk o książkach, które nie dotyczą Sił Zbrojnych i wojny. Mimo to piszę o „Swastyce nad Warszawą”.^{*} Piszę dlatego, że ta książka dotyczy przede wszystkim walki Kraju przeciw okupantom; że Wacław Śledziński opowiada w „Swastyce nad Warszawą” o początkach tej walki; o organizacji, która z biegiem czasu przeistoczyła się w organizację Armii Krajowej i podziemnej administracji Polski.

Śledziński nie jest literatem. Trudno w jego książce doszukać się artystycznego ujęcia tematu. Nie ma w niej świadomie przeprowadzonego odróżnienia postaci i zdarzeń pierwszoplanowych od wypadków i osób, które powinny

^{*} Wacław Śledziński: „Swastyka nad Warszawą”. Wyd. Składnicy Księgarskiej w Edynburgu /1944/, Str. 189.

stanowią plan drugi, czy też tylko szkic, tło tego co jest ważne, co należało uwydatnić, wykończyć, narysować ostrzej i wyraźniej. Śledziński nie przedstawia ludzi od strony ich charakterów, nie wdaje się w stawianie i rozwiązywanie zagadnień dotyczących życia duchowego, nie wyjaśnia pobudek wewnętrznych, które kierują działaniami osób przedstawionych czytelnikowi. Samo zdarzenie opowiada tak, jak je widział, lub jak o nich się dowiedział. Nie tworzy: po prostu — zapisuje. Nie szuka w akcji napięcia dramatycznego, nie układa jej inaczej niż chronologicznie, niż tak, jak ona doszła do jego wiadomości. Brak mu perspektywy, bezstronnej oceny, artystycznego wyrazu dla ujęcia tego materiału — tej masy materiału, jakim rozporządza.

Mimo to, mimo te wszystkie braki, „Swastyka nad Warszawą” jest książką, którą czyta się jed-

nym tchem. Zdarzenia, rewizje, ucieczki, łapanie, podstępny, zasadzki i nadzwyczajne przygody dotyczące autora i jego przyjaciół lub znajomych — mkną przez stronicę książki, gonią jedną drugą. Jest ich tyle, że starczyło by na trzy takie tomy, jak ten, który wydała Składnica Księgarska w Edynburgu, jeśli każde z tych zdarzeń zostałoby pogłębione i potraktowane mniej po dziennikarsku, gdyby autor miał czas przemyśleć to, co chciał przedstawić.

Największą wartość książki stanowi jej autentyczność; autentyczna prawda tych wszystkich nieprawdopodobnych zdarzeń, Śledziński nie ukrywa blasków i cieni ghettta warszawskiego; podaje fakty tak, jak je widział; rzadko je komentuje sam, częściej powołując się na komentarze innych; mimo braku wysiłku w tym kierunku, daje kapitalne zestawienia z życia Niemców i z życia Polaków, zestawienia paradoksalne, dziwaczne, a jednak niewątpliwie prawdziwe. Odsłaniając fragmenty podziemnego nurtu, który płynął przez Polskę, a szczególnie przez Warszawę, nie stwarza wprawdzie obrazu całości życia pod ponurym znakiem swastyki w Kraju, ale ułatwia zrozumienie, jak tam można było żyć; jakie były sposoby na to, aby nie zginąć od razu; aby jakoś egzystować.

Z drugiej strony — na przykładach głupoty okupantów, ich przekupności, ich braku wyobraźni — pokazuje Śledziński ile może zdziałać dobra organizacja wśród społeczeństwa. Te fałszywe paszporty, przepustki, wybiegi, zmiany mieszkania, wyjazdy nie byłyby przecież możliwe, gdyby Niemcy lepiej znali Polaków i gdyby nie byli tak głupi. Nade wszystko jednak „Swastyka nad Warszawą” jest jednym więcej dokumentem postawy narodu polskiego wobec okupantów i jednym więcej dowodem zbrodni niemieckich.

Nie mogę tu nie wspomnieć o okładce tej książki. Jest doskonała, jak zresztą bardzo dobre wrażenie robi druk i — mimo wojennych warunków — staranne wykonanie graficzne. Okładkę rysował Artur Horowicz.

JANUSZ MEISSNER

Sprawy polskie w książkach angielskich

PRAWDA O „KORYTARZU”

Znany pisarz niemiecki, Emil Ludwig, pisze w książce „How to Treat the Germans /Jak traktować Niemców/”: „Sprawa polskiego korytarza nie drażniła Niemców. Jako urodzony w pobliżu granicy niemiecko-polskiej, wiem jak małą popularnością cieszyła się ta część Rzeczy u Niemców; była prawie nieznaną. Ale odwetowcy niemieccy rozpoznali po całym świecie slogan, że traktat wersalski przez stworzenie korytarza polskiego rozciął Niemcy na dwoje. Ten korytarz nie był bardziej szkodliwy, niż Kolumbia Brytyjska, która jest sto razy większa i która oddziela Alaskę od stanu Waszyngton. Ale stworzenie korytarza zaważało junkrom, którzy mieli w tych stronach ogromne majątki; tak więc wnieśli dokoła tej sprawy wiele hałasu”.

WSPOMNIENIE O PADEREWSKIM I ROZMOWA Z TADEU-SZEM ROMEREM

O uroku, jaki ciągle jeszcze dla świata anglosaskiego zachowało nazwisko Paderewskiego, świadczy fakt, że ostatni ambasador amerykański w Tokio, Joseph C. Grew, w pamiętnikach swoich^{**}, poświęconych niemal wyłącznie historii stosunków pomiędzy Stanami Zjednoczonymi a Japonią w ostatnim dziesięcioleciu, znalazł miejsce na swoje o nim wspomnienie.

Pod datą 15 maja 1938 r. ambasador Grew pisze, że już jako dziecko znał nazwisko Paderewskiego /“oczywiście, źle wymawiane”, znane powszechnie nazwisko największego żyjącego pianisty. Pani Grew widziała Paderewskiego w hotelu

Brunswick w Bostonie i była pod wrażeniem jego złotej grzywy. Osobistą znajomość z Paderewskim nawiązał ambasador Grew w latach 1917 — 1918, kiedy stał na czele departamentu Europy Zachodniej w Waszyngtonie i kiedy nadzorował fundusze przesyłane przez różne instytucje dobroczynne dla Polaków pod okupacją niemiecką. Zjawiał się wówczas u niego Paderewski, przynosząc „stosunkowo niewielkie sumy po pięćdziesiąt czy sześćdziesiąt tysięcy dolarów”; „bronił sprawy jak tylko człowiek taki, jak Paderewski mógł bronić, iży ściekały mu po twarzy. Polacy mieli w nim idealnego ordęownika”.

Podobnie ordęownictwo Paderewskiego w czasie konferencji pokojowej w Wersalu odniosło sukces. Nie udała się natomiast Paderewskiemu — pisze Grew — kariera polityczna w Polsce niepodległej, „jego wielkie serce nie było przystosowane do walk politycznych”. poza tym nie mógł dojść do porozumienia z Piłsudskim.

W r. 1924 Grew, podówczas poseł amerykański w Szwajcarii, odwiedził Paderewskiego w dzień jego urodzin w Morges. Normalnie w dzień uro-

dzin Paderewskiego puszczano fajerwerki, tym razem wskutek deszczu kolację podano w pokoju. Ambasador Grew wygłosił toast, podnosząc, że zna Paderewskiego jako wielkiego patriotę, jako wielkiego filantropa i jako wielkiego mówcę, ale tak się złożyło, że nie zna go jako muzyka. Wzruszony Paderewski zapowiedział, że gdy tylko będzie miał wolny wieczór, zaprosi państwa Grew i będzie grał wyłącznie dla nich. Niestety, wkrótce potem ambasadora odwołano do Waszyngtonu, i zapowiedziany wieczór nie doszedł do skutku.

Dopiero w Nowym Jorku ambasador po raz pierwszy słyszał Paderewskiego w Carnegie Hall. „Po zakończeniu recitalu podszedłem pod estradę tak jak to robi para w „Sonacie księżycowej”, aby usłyszeć grę na bis. Paderewski zobaczył mnie: musiał wiedzieć o pomieszczonej przez nas strasie /państwu Grew umarła córka/; być może, przypomniał sobie o swej obietnicy. W każdym razie grał jeszcze na bis prawie godzinę — i grał dla mnie. Był to wieczór, którego nigdy nie zapomnę”.

* * *

W czasie wybuchu wojny europejskiej państwo Grew przebywali w Stanach Zjednoczonych. Po powrocie do Tokio, dn. 10 października, ambasador natychmiast zatelefono-wał do Tadeusza Romera, podkreślając, że chce go zobaczyć przed innymi kolegami z korpusu. Dn. 12 października odwiedził ambasadora polskiego, aby złożyć mu wyrazy współczucia. Romer był najwidoczniej wzruszony. Powiedział, że uznanie nowego rządu polskiego przez nasz rząd bardzo mu pomogło na tamtejszym terenie, gdyż Japończycy, z racji swoich trudnych stosunków z Rosją sowiecką, nie wiedzieli co zrobić, ale po naszym oświadczeniu udało mu się przekonać ich, że mogą w dalszym ciągu uznawać go bez dalszych korowodów jako ambasadora polskiego. W rozmowie na temat stosunku Japonii do wojny, Romer był zdania, że głoszona przez ambasadora Grew na wiosnę 1939 r. teza, iż w razie konfliktu europejskiego, Stany Zjednoczone napewno wejdą do wojny, powstrzymała Japonię od zawarcia sojuszu wojskowego z Niemcami. „Japończycy bardziej niż kiedykolwiek pragną obecnie

gorąco przyjaźni ze Stanami Zjednoczonymi. Powiedział że poza stosunkowo małą grupą, Japończycy są obecnie mocno antyniemieccy”.

Ambasador Grew podkreśla, że z całego korpusu w najbardziej zażyłych stosunkach pozostawał z posem holenderskim gen. Pabstem, z ambasadorem brytyjskim Craigie oraz z ambasadorem Romerem.

O POWSTANIU STYCZNIOWYM

David Footman napisał interesującą monografię Żelabowa^{*}, jednego z przewódców „Narodowej Woli” i organizatora zamachu na Aleksandra II; jak wiadomo, car zginął rozszarpany bombą zrzuconą przez Polaka, Ignacego Hryniewieckiego.

O powstaniu styczniowym Footman pisze co następuje: „Ta ru-chawka /rebellion/ była fiaskiem. Garnizon rosyjski pozostał lojalny. W samej Rosji zabrakło uzgodnionych wystąpień. Była to bezładna kilkutygodniowa wojna podjazdowa w pewnych częściach Polski, ale powstańcy nigdy nie owdelneli żadną pozycją kluczową, nigdy nie zgromadzili tyle sił, aby móc wydać regularną bitwę. W maju rebelia wygasła, i władze rosyjskie rozpoczęły represje. Skrajni opozycjoniści na wszelki możliwy sposób zużytkowywali okrucieństwa rosyjskie w Polsce w celu propagandy sprawy rewolucji w samej Rosji; ale agitacja odniosła niewielki skutek. Uczucia nacjonalistyczne zostały rozbudzone, a wrodzony brak wzajemnych sympatyj między Rosjanami a Polakami uniemożliwił reakcję opinii publicznej na czyste polskie krzywdy. W Rosji głównym skutkiem powstania polskiego było osobiste podrażnienie cesarza i wzmocnienie tych sfer dworskich, które zalecały silną rękę”.

W innym miejscu Footman zaznacza, że popularność Hercena upadła po powstaniu styczniowym. Popierał on Polaków i dlatego stracił sympatie liberalów rosyjskich.

^{*} Red Prelude. A Life of A. I. Zhelabow, by David Footman. Londyn. The Cresset Press, 1944; str. 249 i 5nl. tabl. 1.

SCRUTATOR

Kącik językowy

Plut. pchor. J.K. w Londynie: Jak należy mówić i pisać: „szyzma”, „szemat” — czy „schizma” i „schemat”?

—Tylko „schizma”, „schemat”. „Szymę” i „szemat” należy uważać za germanizmy. W języku niemieckim wymawia się grupę spółgłosek „sch” jak nasze „sz”. Otóż przytoczone wyrazy są pochodzenia greckiego /n.p. „schizma” pochodzi od „schizo” — rozszczepiam/ i z niemiecką nie mają nic wspólnego. Równie dobrze — a raczej równie źle — moglibyśmy wymawiać „szody” zamiast „schody”, albo „szab” zamiast „schab”. „Schron” uotożsamiliby się z „szronem”...

M.S., Londyn, W.3: Spotykam się z pewnymi kłopotami przy użyciu wyrazu „zaś”. Podaje dla ilustracji przykład: „Rodzice wyjechali z wziętą, dziećmi zaś pozostali w domu”. Czy

słowo „zaś” należy umieścić przed wyrazem „dzieci”, czy też na drugim miejscu?

—Na ogół brak jakichś sztywnych reguł co do szyku wyrazów. Jest jednak kilka zasad wyjątkowych. Należy do nich użycie wyrazu „zaś”, który powinien znajdować się nie na początku zdania, lecz na drugim miejscu. Ta sama reguła obowiązuje również w stosunku do wyrazu „bowiem”.

Por. pil. W. T. Jeszcze o „mimo, pomimo”.

—Szczególnie Panie Redaktorze. Przeglądając przygodnie Słownik języka polskiego Lindego, znalazłem potwierdzenie uwag, podanych w „Kąciku językowym” na temat przyminków; mimo, pomimo. Słownik cytuje zdania, zaczerpnięte z literatury staropolskiej, z których wynika, że już od dawna istniały wahania co

do tego, czy przyminki te rządzą przypadkiem drugim, czy czwartym. Podaje dwa charakterystyczne przykłady:

1/ „Czużny sternik ostatniej swej dobywa mocy upartej przemocy”.

2/ „Mimo te wszystkie wstręty i niestatość, znam, że mię kochasz”.

—Bardzo dziękujemy za nadesłane przykłady. Na ogół staramy się unikać obszernych komentarzy do zagadnień językowych, poruszanych przez czytelników, dlatego poprzestaliśmy na podaniu zasady. Na jej potwierdzenie można jeszcze przytoczyć te okoliczności, że w tradycyjnych zwrotach o charakterze potocznych występują również oba przypadki. Mówimy więc zwykle: „mimo to”, „mimo wszystko”, z drugiej zaś strony — „mimo woli”.

NA POLISH CHILDREN RESCUE FUND

N.N. dla dzieci polskich sh.10.

Messa oficerska S.S. "Kmicic" wpłaciła na pomoc dzieciom w Polsce kwotę £16 /szesnaście funtów/.

Przy niniejszym załączam przekazy na sumę £6.5.11 /sześć funtów, pięć szylingów, jeden i pół pensa/, zebraną w czasie przedstawienia Jaselek, urządzanego przez Dywizję Lotniczą Szkoły Technicznej /Gimnazjum/ dla Małoletnich Nr. 2 w Halton — z przeznaczeniem na pomoc polskim dzieciom.

NA "PACZKI OD SERCA"

W załączeniu przesyłam czek na sumę £21 /słownie: dwadzieścia jeden funtów/ z przeznaczeniem na paczki dla studentów przebywających w niewoli.

Skarbnik

Przesyłam Postal Order na £1.10.0 na pomoc ludności Warszawy.

Maria Sulich

W załączeniu przesyłam "Money Order" na kwotę £25 /dwadzieścia pięć funtów/ złożoną przez oficerów, podoficerów i ułanów Pułku Jazłowieckiego, w ciągu miesiąca stycznia 1945 r. na Fundusz Pomocy Warszawy.

II. Z-ca D-cy pułku
Minor Walerian

Dear Sir,
I beg to enclose with our best wishes the sum of Three Guineas as a subscription to the Aid to Warsaw Fund from Mr., Mrs. and Miss Reid.

Yours faithfully,
William Reid

Dear Sir,
I have much pleasure in enclosing Money Order for £10. Please give £5 to Polish Children Rescue Fund and £5 to Warsaw Relief Fund. This money is from Polish Canteen in Pittenweem.

I am,
Yours truly,
Georgina Hughes

Nieprzyjęte przez Ks. Dziekana Miodońskiego w związku z odprawieniem przez Niego Żałobnej Mszy Św. za duszę s.p. por. Baranowskiego 5/- przy niniejszym załączam /P.O./ z prośbą o przekazanie na pomoc dzieciom Warszawy.

Zofia Kw-ska

Na pomoc Warszawie £1.

Żołnierze Kompanii Przejściowej K.U. Nr. 1 złożyli na cele "Pomocy Warszawie" kwotę £1 sh.2 d.9.

Kierownik Kancelarii K.U. Nr. 1
Kasatelewicz

Łączną sumę zbiórki w dzisiejszym numerze £37.0.9 /słownie: trzydzieści siedem funtów i dziewięć pensów/ przekazaliśmy Polskiemu Czerwonemu Krzyżowi.

Suma powyższa podnosi ogólną sumę zebraną dotychczas na ten cel za pośrednictwem "Polski Walczacej" do £2,603.14.0 /słownie: dwa tysiące sześćset trzy funty i czternaście szylingów/.

BŁĘKITNY FUNDUSZ

W załączeniu przesyłam £2 /słownie: dwa funty/ na fundusz dla "rannych Armii Krajowej". Proszę o przekazanie powyższej sumy do odpowiedniego biura i pozostaje z poważaniem

Judycki Stanisław

FUNDUSZ WDÓW I SIERÓT PO POLEGŁYCH ŻOŁNIERZACH 14-ej WLKP. DYW. PIECH.

Dear Sir,
I enclose Postal Order for 3/- for the "Widows and Orphans Fund" of the soldiers of the 14th Great Poland Infantry Division.

I remain,

Martą H.

P.T. Redakcja Tyg. "Polska Walczaca",

Proszę uprzejmie o przyjęcie sh.5 w P.O. na Fundusz Wdów i Sierót po poległych żołnierzach 14 Wlkp. Dyw. Piech.

Z żołnierskim pozdrowieniem

Wielkopoleński

STARANIEM ZWIĄZKU
DZIENNIKARZY R.P.

odbędzie się w poniedziałek dnia 12 lutego r.b. o godz. 18-ej w Ognisku Polskim /45, Belgrave Square, S.W.1/

odczyt

min. Stanisława Sopickiego

o temat:

"W POWOJENNEJ EUROPIE".

Wstęp wolny.

EDYNBURG

40, Bruntsfield Place. Tel. 52396.
2, Drumsheugh Place. Tel. 21712.
Obok West End, na przedłużeniu Queensferry Street.

KSIĘGARNIA POLSKA
"CO SŁYCHAĆ"

Posiada wielki wybór książek polskich i angielskich. Słowniki i podręczniki szkolne. Kalendarze ścienne i kieszonkowe. Upominki, orzełki, dystynkcje i odznaczenia wojskowe. Sprzedaż gazet i czasopism.

KOMUNIKAT NAUCZYCIELSKI

Walny Zjazd Członków Zrzeszenia Nauczycieli Polaków w Wielkiej Brytanii odbędzie się w dniach 15 — 17 lutego 1945 r. w Edinburghu. Żałobna Msza Św. w katedrze rzymsko-kat. dnia 15 lutego br. o godz. 10.30 — Broughton Str. /w pobliżu Royal Theatre/. Otwarcie i obrady Walnego Zjazdu o godz. 11.45 w sali Y.M.C.A. — 10, South St. Andrew Str. /blisko Waverly Station/.

Indywidualne informacje już zostały wysłane pocztą. Informujemy, że Pan Minister Obrony Narodowej Rozkazem L.dz.48/W Pol./45, pkt. 6 kanc. z dnia 11.I.1945 r. zezwolił nauczycielom-żołnierzom na wzięcie udziału w Walnym Zjeździe Nauczycieli. Dowódcy Oddziałów W.P. otrzymali rozkaz wydania biletów kolejowych w ramach zwykłych norm urlopowych.

Prosimy o liczny udział w Zjeździe.

Zarząd Z.N.P.

POSZUKIWANIE

P. J. Jeżewski z Wilna proszony jest o podanie redakcji "Polski Walczacej" swego adresu. Nadeszły na jego nazwisko dwa listy.

DARY LOTNIKÓW

Oficerowie słuchacze V. Kursu Wyższej Szkoły Lotniczej wpłacili w miesiącu listopadzie 1944 r. na pomoc jeńcom-oficerom kwotę £17.2.6 /siedemnaście funtów, dwa szylingi i sześć pensów/.

Oficerowie słuchacze V. Kursu Wyższej Szkoły Lotniczej wpłacili w miesiącu wrześniu 1944 r. na pomoc rannym żołnierzom z frontu w Normandii i z Włoch kwotę £11.12.6 /jedenaście funtów, dwanaście szylingów i sześć pensów/.

Oficerowie Wyższej Szkoły Lotniczej — zamiast zabawy tanecznej w miesiącu październiku 1944 r. złożyli na pomoc ofiarom Warszawy kwotę £15 /piętnaście funtów/.

Rozliczenie z "Imienin Czesławów", pozostałe 13 szylingów, 11 pensów — na pomoc rannym żołnierzom z frontu francuskiego.

Starszy V. Kursu W.S.Lotn.

W.J.P., mjr. pil.

INWALIDZI I RANNI ŻOŁNIERZE
II. KORPUSU

proszeni są o odwrotne podanie pocztą lotniczą obecnych adresów do swoich macierzystych oddziałów. W wypadku zagubienia N-ru poczty polowej, listy należy kierować do: "Sekcja Polowa", Polish Forces, C.M.F. 95 — z określeniem danych, umożliwiających dalsze przesłanie listu.

PORADNIK

Ukazał się nr. 52 "Poradnika dla pracowników świetlic żołnierskich", poświęcony zagadnieniom techniki pracy świetlicowej, przynosi takie artykuły jak: Gry w świetlicy, Zasady deklamacji chóralnej i inne, oraz Katalog Biblioteczki Teatralnej, będącej w posiadaniu Polskiej Y.M.C.A. /Poszczególne tomy tego katalogu mogą być na określonych warunkach wypożyczane pracownikom oświatowym/. Bogaty materiał dla pogadanek i dyskusyj stanowi artykuł A. Wójcickiego, omawiający zbiorową książkę amerykańską p.t. "Wychowanie wolnych ludzi w nowoczesnej demokracji". Całość numeru uzupełniają liczne fotografie, ilustrujące życie w świetlicach Polskiej Y.M.C.A. na terenie Wielkiej Brytanii.

KOMUNIKAT P.C.K.

Ranni Żołnierze, którzy przebywali w obozach W.P. na terenie Kanady, proszeni są o zgłaszanie swoich adresów do P.C.K. 34, Belgrave Sq., London, S.W.1, celem przekazania ich nazwisk Kanadyjskiemu Towarzystwu Przyjaciół Polaków w Owensound, Ont.

FRASZKI HOLENDERSKIE

ZAWSZE TE SAME

Holenderska doń słodko tuli się dziewczyna
i coś o dacie ślubu już mu napomina.
Polak na to: "Com zaczął — to dokończyć lubię.
Wpierw Holandię wyzwolę, potem cię poślubię!"

OGOLONY BRODACZ

W bunkrze siedział tygodnie, a to nie są żarty.
I wroga wypatrywał i trochę grał w karty.
Gdy wreszcie z bunkra wyszedł, wszyscy się dziwili,
bo broda mu urosła, choć go ogolili.

CZARNY RYNEK

W Holandii, czy też w Belgii, każde małe dziecko
wszystko ci opowie o tym black-markiecie.

Ach! W wojsku czarny rynek miałby wielką szansę!
Każdy pytałby: Jaki kurs dziś na ... awanse?

BIEDNE RYBKİ

Nad Mozą ustawiczna dudni kanonada.
Do Mozy jeden pocisk za drugim powpadał.
Pewien gentleman pono martwi się w Londynie,
że śmiercią barbarzyńską tyle rybek ginie ...

DO CZYTELNIKA

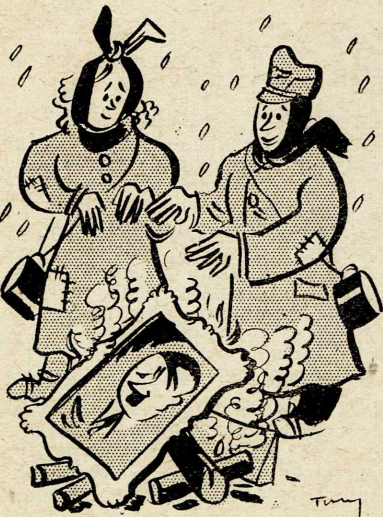
Wciąż głupsze są te fraszki! — tak w krytycznym tonie
powie Czytelnik w Szkocji, w Rubensie, w Strattonie.
A może, Czytelniku, to złudzenie małe?
Fraszki się nie zmieniały! Może Ty — zmądrzałeś?

Or-Si

WERINAJSEK

... ŚMIEJMY SIĘ — BO KTO WIE CZY WOJNA POTRWA TRZY TYGODNIE ...

PRZY OGNISKU NIEMIECKIM



—A ja ci zawsze mówiłam, że Hitler jeszcze nam się na coś przyda ...

WYJASNIŁ

Na inspekcję oddziałów niemieckich w Holandii przybywa Hitler. Objeżdża oddziały na łodzi, bo całe tereny są zalane wodą.

W pewnej miejscowości do przeglądu stanął batalion S.S. Niemcy stoją po szyję w wodzie. Hitler salutuje oddział. Nikt nie odwzajemnia się. Nagle Führer dostrzegł żołnierza salutującego. Ucieszony podpytywa do niego. Żołnierz stoi po pas w wodzie. Hitler zwraca się do pułkownika S.S.:

—Dlaczego tylko ten oddaje honory?

—Ponieważ siedzi na koniu ...

JASNA ZAPOWIEDŹ

Ochotnika z Francji zapytuje przewodniczący komisji poborowej:

—Dokąd chcielibyście pójść?

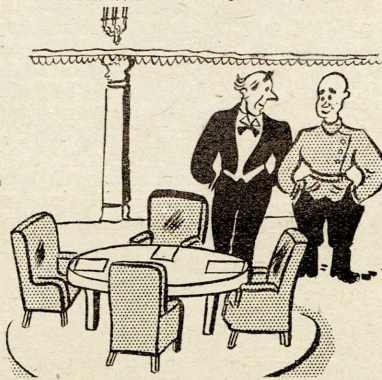
—Do Katowic, panie kapitanie! ...

ROZMOWA W GARAŻU

—Czy nie wiecie, że w piątek jest zawsze "święto konia"?

—A w soboty?

—W soboty to już jest święto byków ...

PRZYGOTOWANIA DO SPOTKANIA
WIELKIEJ TRÓJKI

—Po co jest to czwarte krzesło?
—To na to, jak będą mówili w cztery oczy ...

NOWY STOPIEŃ OFICERSKI

—Pan jest oficerem, czy można wiedzieć — jakim?
—Jako — "jakim"?
—No, po prostu: oficerem służby stałej, rezerwy, czasu wojny, "o zmniejszonych poborach", czy kontraktowym?
—Nie, ja jestem oficerem "czasu tamtej wojny" ...

MAŁŻEŃSTWO POLSKIE
W LONDYNIE

—Dlaczego masz taką minę?
—Przed chwilą obliczyłem w notesie, że radio kosztuje nas £50 rocznie!
—Widzisz, zawsze ci mówiłam, że być nie kupował ...
—Radia?!!
—Nie, notesu ...

NA DROGACH W NIEMCZECH



—Mamo, dlaczego my nie uciekamy koleją?
—Ponieważ kolejami uciekają nasi żołnierze ...

Tekst i rysunki: TONY

POSZUKIWANIE

Ktokolwiek wiedziałby coś o pani Marii Wierzyńskiej, wywiezionej ze Lwowa w maju 1941 r. wgłęb Rosji, proszony jest o przesłanie wiadomości pod adresem: Kazimierz Wierzyński, 101-07 Ascan Ave., Forest Hills, N.Y., U.S.A.

SPIS RZECZY:

Józef Winiewicz: Zachodnie ziemie Polski. — Kazimierz Wierzyński: Nocna modlitwa. — Aleksander Boray: Przegląd tygodniowy. — M. J. Gordon: Nowości lotnicze. — Z tygodnia na tydzień. — Jan: Listy o wspólnych sprawach. List pierwszy. — Żołnierz z 1-ej Pancerniej: Na szlaku Dywizji Pancerniej: Gandawa /Urywki z nienapisanej książki/. — Mieczysław Pawlikowski: "Janowa załoga" /rysunek Jerzego Facyńskiego/. — Polska poezja wojenna: Konfederacja Barska 1768-72. — Antoni Wasilewski: Spowiedź księdza z Normandii. — Janusz Meissner: Książki o wojsku i o wojnie /Autor spod Jasnej Gwiazdy O Polsce pod okupacją/. — Scrutator: Sprawy polskie w książkach angielskich. — Kacik językowy. — Na pomoc Warszawie. — Tony: Werinajsek. — Fotografie.

Już ukazała się nowa książka

BOLESŁAW POMIAN

"KU NAJJAŚNIEJSZEJ Z GWIAZD"

opowiadania lotnicze

Cena 12/-

SKŁADNICA KSIĘGARSKA, 8, Hope Street,
Edinburgh.

WYDAJE BIURO OPIEKI NAD ŻOŁNIERZEM MIN. OBR. NAROD.

Adres Redakcji (Editorial Offices): 5, Portugal St., W.C.2. Tel., HOLborn 7600. 1-e piętro.
Redaktor przyjmuje w poniedziałki i wtorki od godziny 11-ej — 13-ej.
Redakcja nie zwraca rękopisów niezakwalifikowanych do druku.

Warunki prenumeraty: Miesięcznie z przesyłką pocztową — sh.1. Kwartalnie z przesyłką pocztową — sh.3. Należność prosimy wpłacać przekazem pocztowym (Postal Order) pod adresem Administracji.

Ceny ogłoszeń: 1 cal przez jeden łam — sh.20. Zarezerwowane miejsce 50% drożej. Ogłoszenia o poszukiwaniu pracy — 2sh. za wiersz.

Adres Administracji (Business Offices): 63, Lincoln's Inn Fields, W.C.2. Tel., Chancery 5505 i 5506.

Printed for "Polska Walczaca" by St. Clements Press, Ltd., Portugal St., Kingsway, W.C.2. Registered at the G.P.O. as a newspaper.

BARWNA MAPA POLSKI

wraz ze zwięzłym skrótem statystycznym w języku angielskim i francuskim /umieszczonym na boku mapy/. Format 17½" x 22½ cali, ukaże się wkrótce w sprzedaży.

Cena 2/6

Cena 2/6

Cała rozsprzedaż tej mapy oddana do Kiosku w Ognisku Polskim w Londynie, 45, Belgrave Square, S.W.1.

Ze względu na ograniczony nakład, uprasza się o zgłaszanie zamówień jak najszybciej, tylko pod adresem Kiosku.

BE TALLER!
INCHES PUT YOU
MILES AHEAD!

Increased my own height to
6ft. 3ins.
CLIENTS GAIN 1 to 6 inches
No Appliances—No Tablets—
No Dieting

Ross System Never Fails
Fee £2 2s. Complete
Details 6d. stamp

MALCOLM R. ROSS
Height Specialists,
BM/Hyte, London, W.C.1